

KONKRETY

nr 1

**BEZ
SAMOUWIELBIENIA!**

4

**CZY REFORMA
DA MIESZKANIA?**

5

**LICZYĆ
Z OŁÓWKIEM W RĘKU**

7

**OSIEMDZIESIĄT
CENTYMETRÓW NIEZGODY**

10



◆ FOTOREPORTAŻ „TAK TRZYMAĆ!” NA STR. 8—9. Fot. Krzysztof Raczowski

DOROCZNE NAGRODY LEGNICY

Tradycyjnie — jak co roku 9 lutego z okazji obchodów rocznicy wyzwolenia — w Urzędzie Miejskim odbyła się uroczystość wręczenia nagród i honorowych wyróżnień miasta Legnicy.

Nagrody za rok 1981 przyznano:

Stelli Ewelinie Plochacz — emerytowanej nauczycielce ze Szkoły Podstawowej nr 19 za wybitne osiągnięcia na niwie pedagogicznej i społecznej. Laureatka, która swą pracę w zawodzie nauczycielskim rozpoczęła w Legnicy w r. 1950, była organizatorem harcerstwa.

Stanisławowi Nowakowi — kierownikowi piekarni WSS „Społem” „Jubilatka” za całokształt pracy zawodowej;

Feliksowi Urbanowskiemu — mistrzowi piekarskiemu, znanemu właściwie już kilku pokoleniom legniczanie, bo od r. 1946.

Walerianowi Waszakowi — długoletniemu prezesowi Spółdzielni Pracy Inwalidów „Legspin” za całokształt działalności zawodowej i społecznej.

Honorowe wyróżnienia za pracę w r. 1981 wręczono przedstawicielom załóg Spółdzielni Pracy Stolarsko-Tapicerskiej „Dąb”, Legnickiej Fabryki Fortepianów i Pianin oraz Rejonowi Legnica Dolnośląskich Zakładów Gazownictwa. Przy okazji warto poinformować, iż wszystkie te zakłady obchodzą w tym roku jubileusz 35-lecia.

Spółdzielnia „Dąb”, produkująca meble i wykonująca usługi dla ludności rozpoczęła pracę 2 czerwca 1947. Jej załoga składała się wówczas z 35 osób. Plan roku 1981, mimo trudności surowcowych, wykonano w 101,4 proc.

Legnicka Fabryka Fortepianów i Pianin — to jeden z najstarszych zakładów legnickich. Pracę rozpoczęło w nim 10 stycznia 1947 zaledwie 18 pionierów. W marcu 1947 r. ruszyła „produkcja” polegająca na renowacji zniszczonych instrumentów. Nowe pianino wykonano (50 sztuk) po raz pierwszy w roku 1951. Po zmodernizowaniu fa-

bryka stała się z czasem znanym w świecie producentem i eksporterem. W latach 1953—1981 głównie do strefy dolarowej (RFN, Francja, Holandia) wyeksportowano 6590 pianin.

Mniej sławny, choć z jego pracy korzystamy wszyscy na co dzień, jest Dolnośląski Zakład Gazownictwa — Rejon Legnica. W sierpniu 1947 roku rozpoczęła się w Legnicy eksploatacja sieci i urządzeń gazowych. A trzeba pamiętać, że miasto należało i należy do skupisk o wysokim wskaźniku gazyfikacji (obecnie 93 proc. przy średniej krajowej — 73 proc.).

Pracownicy legnickiego rejonu DZG nie tylko zabezpieczają eksploatowaną sieć, remontują ją, ale i budują nową.

Prezydium WRN w Legnicy postanowiło szczególnie wyróżniającym się pracownikom wspomnianych zakładów przyznać odznaki „Za zasługi dla województwa legnickiego”. Otrzymali je: Helena Kloze, Tadeusz Kopala, Stanisław Niklewicz, Franciszek Pohl, Maria Tkaczyk, Edward Żurkowski ze Spółdzielni „Dąb”; Marian Jakubczak, Józef Tokarz, Feliks Żołędowski i Józef Szajda z „Fortepianów”; Władysław Krajewski, Andrzej Radajewski z DZG. Ponadto przyznano wspomniane odznaki: pracownikom PWiK Adamowi Marszałowi, Władysławowi Pawelczakowi, Czesławowi Wawrzyniakowi oraz laureatom nagród miasta Legnicy — S. E. Plochacz i Stanisławowi Nowakowi.

Prezydent miasta Legnicy w uznaniu za szczególnie wkład pracy włożony w ostatnim, tak trudnym dla kraju, województwa i miasta okresie, wyróżnił listami pochwalnymi sześciu piekarzy skupionych w Cechu Rzemiosł, a mianowicie: Andrzeja Jaskulę, Mieczysława Jaskulę, Antoniego Koronkiewicza, Tadeusza Mrukę, Stefana Walasiaka i Kazimierza Zawadzkiego.

(tr)

GMINA — GMINIE

Mściwojów koło Jawora należy od dawna do słynących gospodarnością gmin w województwie legnickim. Gleby tu bardzo dobre, a rolnicy o wysokich kwalifikacjach specjalizujący się zwłaszcza w uprawach nasion. Ta wieloletnia sława gminy sprawiła, że właśnie tam się chciałem przyrzec pracy miejscowego Komitetu Ocalenia Narodowego. Powstał on z inicjatywy Komisji Współdziałania PZPR i ZSL, tylko że działacze wyszli z założenia, iż zamiast kilku drobnych — wiejskich, trzeba powołać jeden bardziej prężny — gminny komitet. Przewodniczy mu I sekretarz KG Józef Mokrzycki, a funkcję zastępcy powierzono nauczycielce — prezesowi KG ZSL Grażynie Pasternak. Skład obywatelskiego KON jest zróżnicowany. Są nauczyciele, lekarz, działacz ZBoWiD, młody rolnik. W sumie piętnaście osób reprezentuje wszystkie wchodzące w obręb gminy wsie. Co robią oprócz działań na rzecz podniesienia ładu i porządku oraz współpracy z komisariatem wojskowym? Przygotowują się do akcji wiosennej, do walki o chleb. Gmina Mściwojów zwłaszcza teraz nie chce i nie może odstawać, a miejscowym gospodarzom tego tłumaczyć nie trzeba.

KON nadzoruje więc przede wszystkim prace gminnej komisji socjalnej przygotowującej listy kolejności zakupu węgla, nawozów, środków do produkcji rolnej. Ale nie tylko o produkcji się myśli, bo czasem trzeba było i buty robocze dzielić.

Sukcesem KON i władz gminy jest zorganizowanie akcji pomocy powodzianom. W Mściwojowie hasło „Gmina-gminie” padło na podatny grunt. Zebrano nie tylko środki pieniężne (ogółem 286.390 zł, w tym ponad 130 tys. wpłacili rolnicy), ale co zdaniem chłopów dziś bardziej się liczy — płody rolne o wartości blisko 101 tys. zł. Mieszkańcy gminy zebrali 7,5 tony ziarna, głównie pszenicy, 2,5 t ziemniaków oraz 728 kg grochu. Sami działacze KON nie spodziewali się takiego odzewu. Z darem serca p.spieszyli wszyscy lepiej i gorzej sytuowani. Na rzecz powodzian rolnicy z Mściwojowa zrezygnowali też z kartkowych przydziałów na mąkę.

Z inną — dotychczas nie zrealizowaną — inicjatywą zgłosił się do komitetu już w pierwszych dniach po ogłoszeniu stanu klęski żywiołowej w Płockiem ob. J.T. z Siekierzy — właściciel prywatnego pensjonatu w Karpaczu. Wyraził on gotowość bezpłatnego przyjęcia (bez wyżywienia) 40 uczniów z nauczycielkami z jakiejś szkoły z terenów objętych powodzią. Żalować należy, że ta oferta nie została jeszcze podchwycona i może właśnie gminny KON powinien ją pilotować, a część żywności zamiast do Płocka przeznaczyć na wyżywienie dzieci na miejscu. W ten sposób rzucone hasło „Gmina — gminie” (a sądzę, że taką współpracę z którąś z gmin w Płockiem Mściwojów niebawem nawiąże) nabierze jeszcze bardziej wymiernego kształtu.

Czy to są wszystkie działania gminnego KON? Nie — życie co dzień niesie pilne zadania. Ot choćby, pozornie drobna sprawa jak uporządkowanie na terenie gminy sprzedaży alkoholu, a zwłaszcza w wiejskich sklepach — wina. Inna inicjatywa zmierza do baczniejszego roztoczenia przez mieszkańców Luboradza opieki nad znajdującym się w tej miejscowości pałacem. Z jednej strony chodzi o uporządkowanie otoczenia, zabezpieczenie porożrzucanych resztek barokowych rzeźb, a przede wszystkim zdrenowanie terenu. Z drugiej — o wspólne wypracowanie z władzami gminy i wojewódzkim konserwatorem zabytków planu sensownego zagospodarowania obiektu. Sprawie tej KON poświęci odrębne posiedzenie.

Tu dodajmy, iż pałac w Luboradzu właśnie dzięki trosce ludzi mieszkających w pobliżu nie podzielił dotychczas całkowicie smutnego losu innych podworskich rezydencji. Jeśli więc KON zmobilizuje mieszkańców Luboradza do dalszej troski o obiekt, to chyba i KON, i rolnicy winni otrzymać tytuły społecznych opiekunów zabytków. Zanim to nastąpi, należałoby jednak przedstawić tutaj na miejscu projekty renowacji obiektu, zaprezentowane niedawno w legnickim BWA.

(tr)

MIEDZIOWE WIEŚCI

AWARIA W „RUDNEJ”

Trwa usuwanie poważnej awarii, która wydarzyła się w nocy 22 stycznia w szybie R-2 kopalni „Rudna”. Prawdopodobnie wskutek obłuzowania się lub oberwania jednego z prowadników zderzył się w szybie dwa naczynia skipowe — trzydziestotonowe, prostopadłościennymi pojemnikami. Oba skipy uległy zupełnemu zniszczeniu. Uszkodzone są także liny wyciągowe i wiele urządzeń we wnętrzu szybu. Mimo iż naczynia skipowe były, zgodnie z planem, przeznaczone do wymiany w marcu br., straty materialne są znaczne. Szacuje się je na około 2 mln złotych.

Przyczyn awarii bada specjalna komisja. Usuwanie skutków potrwa do 10 bm. Mimo postępu szybu skipowego plan wydobycia nie jest zagrożony czas pracy kopalni wydłużono bowiem z 6 do 7 dni w tygodniu.

HUTA „LEGNICA” PRZEKRACZA PLANY

Dobrze pracują legnicy hutnicy. W styczniu plan produkcji miedzi konwertorowej wykonali w 102,3 proc., a miedzi elektrolitycznej i wlewków w 100 proc.

Huta ma jednak poważne kłopoty z zaopatrzeniem się w ług posulfitowy, niezbędny w procesie produkcji. Normalnie zapas tego surowca winien wystarczać na 10-12 dni. Huta dysponuje rezerwą zaledwie 2-3-dniową.

Przy tak niskim poziomie zapasów większy „poślizg” w dostawach mógłby przynieść fatalne skutki.

W „KONRADZIE” PIĘCIODNIOWKA

KGHM podjął decyzję o zaprzestaniu wydobycia w wolne soboty w kopalni „Konrad”, w Iwinach k/Bolesławca. „Konrad” — najmniejsza w LGOM kopalnia miedzi — był od lat zakładem nierentownym. W ubiegłym roku kombinat dopłacał do kopalni „Konrad” około 2 mln złotych dziennie. Prowadzenie wydobycia w wolne soboty pogłębiało więc tylko i tak ogromny deficyt. Wydaje się, że w warunkach reformy gospodarczej decyzja o zaprzestaniu wydobycia w soboty jest w pełni uzasadniona.

SŁUŻBY SOCJALNE PRACUJĄ

Stan wojenny nie spowodował większych perturbacji w działalności socjalnej zakładów pracy zgrupowanych w KGHM. Wszystkie funkcje spełniane przez związki zawodowe przejęły zakładowe komisje socjalne i wyspecjalizowane służby. Wypłaca się zapomogi i zasiłki, wydaje skierowania do sanatoriów.

Dzięki staraniom wydziału socjalno-bytowego KGHM uzyskano na stałe w ośrodkach sanatoryjnych w Czerniawie Zdroju 30 miejsc w każdym turnusie. Skierowania do tych ośrodków otrzymują dzieci pracowników kombinatu mieszkające w rejonach hut miedzi — z Legnicy i Głogowa. Ze względu na rygorystyczny stan wojenny nieczynne są zakładowe ośrodki wypoczynkowe. Prowadzi się w nich prace remontowe i modernizacyjne. Większą część personelu zatrudniono na okres przejściowy bezpośrednio w zakładach pracy.

Działalność sportowa i rekreacyjna przebiega normalnie.

BEZROBOCIE W LPB

Dziwne praktyki odbywają się w Lubimskim Przedsiębiorstwie Budowlanym. W związku z zatrzymaniem produkcji w fabryce domów kilkudziesięciu jej pracowników zostało bez konkretnego zajęcia. Jesienią ub.r. zatrudniały ich miejscowe PGR-y. Od wielu tygodni, gdy zakończono już wszelkie roboty w rolnictwie, pracownicy ci przebywają na urlopie okolicznościowych, otrzymując 75 procent dotychczasowego wynagrodzenia.

Skądinąd wiadomo, że w samym Lubinie znalazłaby się robota nie tylko dla kilkudziesięciu fachowców, choćby przy prawie zdewastowanych przystanków autobusowych lub urządzeń centralnego placu zabaw dla dzieci.

Widać, że to bardzo bogata firma, skoro stać ją na wypłacanie tego typu zasiłków dla bezrobotnych.

(J.D.)

JERZY WILK

PIERWSZYM SEKRETARZEM KW PZPR

5 bm. odbyło się posiedzenie Egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Legnicy z udziałem sekretarza KC PZPR Mariana Orzechowskiego, a także kierownika Wydziału Kadr KC PZPR, gen. bryg. Tadeusza Dziekana.

Członkowie Egzekutywy KW poinformowani zostali o tym, iż Biuro Polityczne KC przyjęło rezygnację Stanisława Jasińskiego z funkcji I sekretarza KW PZPR w Legnicy i powołało Jerzego Wilka — zastępcę kierownika Wydziału Ideologicznego KC PZPR na stanowisko I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego oraz w skład KW i Egzekutywy KW PZPR w Legnicy.

Biuro Polityczne i Egzekutywa KW wyraziły podziękowanie Stanisławowi Jasińskiemu za dotychczasową działalność partyjną.

S. Jasiński podziękował członkom Egzekutywy i całej wojewódzkiej organizacji partyjnej za dobrą współpracę w okresie pełnienia funkcji I sekretarza KW PZPR.

Zabierając głos Jerzy Wilk stwierdził, iż obowiązku pełnienia funkcji I sekretarza KW podjął się z przekonaniem, że może liczyć na pomoc i współdziałanie aktywu oraz całej legnickiej organizacji partyjnej.

Jerzy Wilk urodził się w 1933 r. w Piotrkowicach (woj. kieleckie) w rodzinie robotniczej. Posiada wykształcenie wyższe — jest socjologiem. Do PZPR wstąpił w 1955 r. Pracę zawodową rozpoczął w 1953 r. jako nauczyciel zasadniczej szkoły zawodowej. W latach 1955—1961 był sekretarzem prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Łaziskach Górnych. Od 1961 r. pełni różne



funkcje partyjne. Był m.in. sekretarzem komitetów powiatowych w Tychach i Gliwicach oraz I sekretarzem KP w Będzinie. W latach 1975—1978 pełnił funkcję sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach. Od 1978 r. pracuje w Wydziale Ideologicznym KC, początkowo jako st. inspektor, a następnie od listopada 1980 r. jako zastępca kierownika wydziału.

W czasie swej długoletniej pracy i działalności partyjnej zdobył duże doświadczenie i dążył do umacniania ideowego partii jej ofensywności w codziennym działaniu.

Jednym z podstawowych warunków konsolidacji partii jest oczyszczenie jej szeregów z ludzi, którzy trafili do niej przypadkowo, lub są nosicielami obcych poglądów, albo też zawiedli jej zaufanie.

Ten proces już się rozpoczął. Powiedzmy bowiem jasno — kuli ilości dawniej upowszechniany, że przystąpił się samej partii i jej wpływom w społeczeństwie. Dlatego zwłaszcza że trafilo do niej немало karierowiczów, którzy nie kierowali się żadnymi względami ideowymi, a jedynie myślili o własnym interesie. Działali wygodnie w atmosferze doradztwa i niedemokratycznych metod. Są zatem obiektywne ich zwolennikami. Mogą, gdyby pozostali w partii, spowodować odrodzenie się tych tendencji, stanowiąc poważne niebezpieczeństwo dla celów socjalistycznej odnowy, której jedną z głównych cech jest prawdziwy rozwój demokracji socjalistycznej.

Samodzielność przedsiębiorstw, samorząd załóg pracowniczych, niezależność związków zawodowych — to warunki, w których karier opartych na znajomościach, stosunkach i gabinetowych układach robić nie można. Dlatego ci właśnie bezideowcy mogą być przeciwnikami reform i socjalistycznej odnowy. Są zatem niebezpieczni dla samej partii i koniecznego procesu jej konsolidacji w duchu socjalistycznej demokracji, na bazie idei marksistowsko-leninowskich.

ODBUDOWA SIŁ

Partia oczyszcza swe szeregi również z ludzi nieuczciwych, bez względu na stanowiska jakie zajmowali. Decyzja Wojewódzkiej Rady Ocalenia Narodowego — zgodna z postanowieniami IX Nadzwyczajnego Zjazdu przyspiesza rozpoczęcie procesów sądowych ludzi, którym udowodniono nieuczciwość. Wniosek rady, skierowany do Sejmu o powołanie Trybunału Stanu wyprowadza na równą drogę sprawę rozliczenia odpowiedzialnych za spowodowanie kryzysu. Jest to w pełni zgodne z odczuciem społecznym i oczekiwaniami członków partii, zwłaszcza robotników, gdyż stawia wreszcie jasno tę kwestię. Zdejmuje to odium niechęci do partii i zaprzecza fałszywym oskarżeniom, że usiłowała ona chronić ludzi ponoszących rzeczywistą winę za dzisiejszy stan Polski.

Zamęt ideologiczny ostatnich kilkunastu miesięcy miał złożone przyczyny. Jedną z nich była niejasna polityka kierownictwa w części tego okresu, co powodowało, że wielu szeregowych członków partii nie pojmowało motywów i celów poszczególnych decyzji. Równocześnie poza partią — ale i w samej partii — rozpowszechnione były rozmaite koncepcje rozwiązań problemów ustrojowych, strukturalno-gospodarczych i systemowo-politycznych. Nosicielami ich byli głównie antysocjalistyczni eksperci „Solidarności”, ale również niektórzy członkowie partii. Oskarżeniem o rewizjonizm nie powinno się szafować, lecz przeciż propozycje a nawet działania, wspierające tzw. struktury poziome, rozwiązania modelowe, oparte o wzory burżuazyjne czy socjaldemokratyczne, zaprzeczanie roli państwa socjalistycznego w organizacji życia narodu, próby organizacji gospodarki i życia społecznego w oparciu o skrajnie samorządowe koncepcje — poza i obok państwa, na taką ocenę w pełni zasługują. Rewizjonizm jest pytaniem o sens uniwersalnych zasad socjalizmu, z zamiarem ich podważenia, a także odrzucenia kierowniczej i przewodniej roli partii. Stawia więc jego nosiciele poza partią marksistowsko-leninowską, obok jej programu, a nawet przeciwko niemu.

Przypominamy, że w Polsce część przyczyn kryzysu spowodowało właśnie odejście od tych uniwersalnych zasad. Sprzeniewierzenie się społecznej etyce robotniczej moralności doprowadziło do zaniku w praktyce stosowania kryteriów sprawiedliwości społecznej, wzrostu nieuczciwości i lansowania drobnomieszczańskiego stylu życia i jego wzorców. Jedni bogacili się, inni biednieli, wbrew wynikom własnej pracy a w rezultacie warunków, które zostały stworzone: praca przestała wyznaczać poziom egzystencji i możliwości rozwoju, zaś problem warstw ubogich nie był brany pod uwagę w polityce społecznej państwa. Zanik szacunku dla naukowych, marksistowskich metod analizy rzeczywistości i wyznaczania celów jej rozwoju, spowodował rozrost woluntaryzmu. Odrzucenie w praktyce zasad partyjnej kontroli, krytyki i samokrytyki zrodziło poczucie bezkarności i siebiepaństwa niektórych ludzi. Zaniedbanie oddziaływań ideowo-wychowawczych i etycznych, wynikających z pryncypiów socjalistycznych, kształtowało postawy ludzi, którzy przedkładali cele osobiste nad społeczne.

Uznawanie żywotności uniwersalnych zasad socjalizmu nie oznacza wcale lekceważenia czynników doświadczeń narodowych w jego rozwoju. Państwa socjalistyczne — radzieckie, jugosłowiańskie, węgierskie czy NRD, są ukształtowane według historycznych doświadczeń tych narodów, i te doświadczenia wykorzystują one przy rozwiązywaniu problemów współczesnych. Bez przeprowadzania dowodu można stwierdzić, że są to państwa o tyle podobne, o ile różniące się równocześnie. Socjalizm bowiem jest zjawiskiem społecznym i politycznym w ciągłym rozwoju, jest swoistą rewolucją i nieustanną reformą życia. Teza zatem lansowana przez kontrrewolucjonistów i rewizjonistów — o niereformowalności socjalizmu i jego biurokratycznym charakterze jest nie tylko fałszywa, ale i bezzasadna. Wyśnuwając, aby odmówić partii prawa i możliwości przeprowadzenia skonkretyzowanych przez nią reform. Umocniłyby one bowiem socjalizm w Polsce, co stało w sprzeczności z prawdziwymi zamiarami sił antypartyjnych i kontrrewolucyjnych, które chciały zburzyć nasz ustrój i odbudować w Polsce ustrój burżuazyjny.

Położenie kresu, jawnej działalności wrogów socjalizmu — w wyniku ogłoszenia stanu wojennego — otworzyło możliwość odbudowy sił partii i jej aktywności.

Trzeba teraz doprowadzić do końca proces jej konsolidacji, oczyszczając szeregi partii, nawet gdyby miało to oznaczać wydatne zmniejszenie liczby jej członków, idzie bowiem nie o ilość statystyczną, a o jakość ideowo-moralną i polityczną partii klasy robotniczej, partii marksistowsko-leninowskiej.

WIESŁAW ROGOWSKI

DO NASZYCH CZYTELNIKÓW

Po dwumiesięcznej przerwie oddajemy do rąk czytelników pierwszy w tym roku numer „Konkretów”. Aktualna sytuacja społeczno-polityczna również i na nas dziennikarzy nakłada dodatkowe zadania. Zdajemy sobie z tego w pełni sprawę i jesteśmy przekonani, że w ich realizacji, tak jak w ubiegłych latach wspomagając nas będą czytelnicy, ich listy, opinie, sygnalizowane problemy. Na kontaktach tych zależy nam szczególnie, bo chcemy wychodzić naprzeciw zapotrzebowaniu społecznemu, podejmować problematykę ważką dla mieszkańców województwa i całego narodu. Chcemy Wam, czytelnicy, służyć na trudnej drodze naprawy Rzeczypospolitej, towarzyszyć w trudach, troskach i sukcesach dnia codziennego. Zdajemy sobie w pełni sprawę, jak od ciężkiej pracy całego narodu zależy będzie wychodzenie kraju z kryzysu i siła naszego państwa. Zdajemy sobie sprawę, jak wiele zależy będzie od realizacji myśli i też zawartych w uchwale IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR. Wznowienie wydawania „Konkretów” jest jednocześnie dla nas, redaktorów redakcyjnego połączaniem z „Sygnałami Legnickimi”. Biuletyn ten, jakże potrzebny zwłaszcza w pierwszych tygodniach po wprowadzeniu stanu wojennego, ukazywał się dzięki inicjatywie wojewódzkiego sztabu informacji i propagandy. Mamy nadzieję, że był on sygnałem nie tylko informacyjnym, ale i sygnałem stopniowej normalizacji życia, a nam dziennikarzom dawał możliwość kontynuowania społecznej służby.

Korzystając z okazji chcemy wyrazić swe uznanie Współtowarzyszom Czarnej Sztuki z drukarni w Legnicy za zaangażowanie i ofiarną pracę, a pracownikom „Ruchu” za szybkie kolportowanie kolejnych, bądź co bądź nierytmicznie ukazujących się numerów. Specjalne podziękowanie składamy kolegom z redakcji gazety PGWAR „Znamia Pobiedy”. To dzięki ich chemigrafii mogliśmy ekspresowo przygotowywać kłisy z zdjęć. Pragniemy zamykając ten etap pracy podziękować też tym, którzy przyczyniali się do uatrakcyjnienia kolejnych numerów „Sygnałów” fundując nagrody za trafne rozwiązania tematycznych krzyżówek. Byli nimi Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Legnicy, Wojewódzka Federacja Sportu, Komenda Chorągwi ZHP w Legnicy.

Jak widać lańcuch ludzi dobrej woli, czuliśmy otaczając nas życzliwość i to szczególnie cieszyło i dawało satysfakcję, że również przyczyniamy się do współtworzenia atmosfery społecznego spokoju i stabilizacji w województwie. I właśnie temu celowi chcemy służyć nadal w codziennej dziennikarskiej pracy.

KARY ZA ZANIECZYSZCZANIE ŚRODOWISKA

Po raz pierwszy w 1982 roku wejdą w życie przepisy ustawy o ochronie środowiska z 31 stycznia 1980 r. dotyczące osób prywatnych, prowadzących działalność gospodarczą. Chodzi tu o opłaty, które powinni uiścić właściciele szklarni, kurzych ferm i innych obiektów posiadających własne kotłownie, emitujące do atmosfery pyły i gazy. Dotyczy to też składowania odpadów.

Zainteresowane osoby zostały powiadomione o tym obowiązku poprzez prasę oraz indywidualne pisma. Jak wynika z informacji O-

środka Badań i Ochrony Środowiska w Legnicy, prywatni właściciele potraktowali sprawę na ogół retelnie. Zgłaszają się do ośrodka informując o ilości spalnego rocznie węgla czy koksu i dowiadując się o wysokości opłat. Nie są to sumy wielkie. Np. opłata za spalenie jednej tony koksu wynosi 17 zł.

Fundusz utworzony przez osoby prywatne oraz zakłady przemysłowe, które już od ub. roku zostały objęte opłatami postuluje do finansowania inwestycji chroniących naturalne środowisko woj. legnickiego.

BEZ SAMOUWIELBIENIA!

Odnosi się wrażenie, że działa mechanizm wahadłowy: od skrajności w jedną do skrajności w drugą stronę. Od ściany — do ściany. Jeszcze kilkanaście miesięcy temu szalała propaganda sukcesu — Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatnio. Sierpień 80 popchnął nas w przeciwną stronę. Ponad rok trwała krytyka właściwie wszystkich dziedzin życia państwowego i partyjnego. Nastal czas propagandy klęski. Całe szczęście, że i to się skończyło. Teraz mamy nową amplitudę: po propagandzie klęski zaczęła się klęska propagandy. (Jeżeli uda się to opublikować, to znaczy, że przesadziłem, że nie jest jeszcze tak źle.)

Powiem wprost, co drażni, nie tylko zresztą mnie, w naszych środkach publicznego przekazu. Otóż gdyby dosłownie traktować i poprzestać tylko na tym, co serwują nasi propagandziści trzeba by uwierzyć, że mieliśmy wprawdzie kłopoty z kilkoma tysiącami ekstremistów z „Solidarności” i co bardziej drapieżnymi członkami organizacji opozycyjnych, ale nie poza tym w Polsce się nie stało. Gdyby nie przemówienia generała Jaruzelskiego i gdyby nie oceny w dokumentach partyjnych, zapomnielibyśmy zgola, co się naszej partii przydarzyło.

Mamy pewien stan świadomości społecznej, z którym trzeba się przecież liczyć. Część społeczeństwa utraciła nadzieję związane z partią. Propaganda „Solidarności” i opozycyjnych organizacji politycznych zrobiła też swoje. Cóż z tego, że była to krytyka przesadzona, napastliwa, prowadzona wręcz z wrogich pozycji. Jest faktem, że jakoś niewiele mieliśmy na swoją obronę, a i polemiki były nieudolne i mało przekonujące.

Popelnionych błędów nikt nam nie zapomni, ani tak szybko nie wybaczy. Czy można się dziwić, że ludzie są podejrzliwi. Opozycja wysunęła balamutne, lecz bardzo chwytliwe programy, z którymi — jak dotychczas — nie podjęliśmy rzeczowej polemiki, nie da się ich zalepić epitetami. Nie tylko aktywiści „Solidarności” i NZS zaangażowali się po stronie KOR i KPN.

Zmierzam do takiej konkluzji: największą słabością partii było niedostrzeżenie lub przemilczanie własnych pomyłek. Od początku cały wysiłek propagandy partyjnej skierowany był na opędzanie się od krytyki przeciwników, na wykazywanie, że nie mają racji lub kłamia. Na ogół zawsze była ta propaganda walcząca w defensywie, broniła się przez negację, odpiarała zarzuty, demaskowała wrogość.

Pokazując teraz, co nam szykowano, czym groziły rozwiązania proponowane przez kierownictwo „Solidarności”, równolegle trzeba by mówić samokrytycznie o własnych potknięciach. Sytuacja przecież się zmieniła, nie musimy już odpiarać krytyki destrukcyjnej i anarchizującej. Zachowania społeczne są kontrolowane, stopniowo można więc zwalniać wentyl bezpieczeństwa dla propagandy. Jest to miara naszej wiarygodności, szansa przekonania, że partia odzyska swoją rewolucyjność i pryncypialność, że uwolniła się od błędów i będzie bronić interesów robotniczych przed jakimikolwiek wynaturzeniami. Dlaczego zatem godzimy się na prostactwo, na jednostronność i samouwielbienie, na tani nadal dydaktyzm.

Gdy czytam prasę, słucham radia i telewizji, myślę, jak niewiele życie nas nauczyło. Propagandę absorbuje wyłącznie — chyba siłą rozpędu — przeciwnik. A przecież mamy sytuację wyjątkowo dogodną, żeby uderzyć się także we własne piersi. Tego się nawet oczekuje. Największe emocje budzą dziś kary nie tyle za naruszenie rygorów stanu wojennego, lecz za zapomnienie o regulach ustrojowych w minionym okresie.

Walcymy na dwa fronty. Na jednym zakończono właśnie zwycięską bitwę. Prawda, że tylko bitwą, jeszcze nie wojnę. Poskromiono szczerzącą zęby, sprężoną do skoku wywrotową anarchię. Na drugim — musimy walczyć na zapleczu, mając do pokonania własne słabości. Czyż więc nie pora przyspieszyć przegrupowanie sił i środków, energicznie pozbywać się maruderów, osądzać jednostki zdemoralizowane, wycofać polityczne kaleki?

Dość już narzekania na opozycję i wrogów, że atakowali i pewnie będą atakować. A co mają robić? Takie narzekanie tylko drażni, jak zresztą każde bezwolne biado-

nie. Nie warto byłoby w ogóle zawracać sobie głowy grzeczną opozycją. W czym w końcu ma się wyrażać rewolucyjność partii?

Obawialiśmy się czy w walce, pod ogniem przeciwnika, można ryzykować przegrupowanie własnych szeregów. Chociaż w istocie właśnie walka i myśl o zwycięstwie zmusza do przegrupowania, inaczej przedsięwzięcie tego rodzaju nie miało celu. W toku walki, w bojowych okolicznościach wybrano jednak całe nowe najwyższe kierownictwo partyjne, pod silnym ogniem zmieniono I sekretarza. Teraz trwają dalsze zmiany, choć nie bez oporów. A sytuacja jest przecież dogodniejsza i nie ma się co ociągać. Ktoś może pomyśleć, że nawołuję do czystek. Nie, chociaż pranie własnych brudów w wielu instancjach i organizacjach, pewnie by się przydało. Wiem, że sprawa nie jest prosta. Chodź o kryteria różnych decyzji kadrowych. Z jawnym wrogiem zawsze łatwiej się rozprawić, wiadomo czego się spodziewać. Gorzej zwalczać farbowanych zwolenników albo tłumaczyć tym, którzy umocnili się w bunkrach linii Maginota, że tkwią na pozycjach kiedyś mocnych, ale dziś bez znaczenia.

Przegląd kadr zrobiło nam samo życie. Aktywiści partyjni weryfikowali się w walce, w potyczkach z aparatem związkowym „Solidarności”, sporą armią ludzi na ogół młodych i inteligentnych, dobrze płatnych i emocjonalnie zaangażowanych, jeśli nie wrogo, to w każdym razie czupurnie nastawionych do władzy i komunistów. Jakże bardzo różnił się od naszych, nawet wyglądem zewnętrznym, sposobem bycia, tonem wypowiedzi, stawianiem spraw. Wypadaliśmy jednoznacznie gorzej. Widać to było najwyraźniej, gdy przychodziło rozmawiać publicznie.

Słabość naszych kadr ujawnia się najostrzej w nawoływaniu w rodzaju: weźmy się, no zrobmy coś, nie dajmy się, musimy, trzeba itd. Boksowanie powietrza, słowne apele, deklaracje, moralne, pobożne życzenia, z których przez lata nigdy nie konkretnego nie wynikało, a teraz tym bardziej nie może. (Ten temat zasługuje na odrębne potraktowanie, wielokrotnie napiętnowali to klascy marksizmu, przecież to błąd idealizmu pod marksistowskimi hasłami). Tak nie da się przewodzić, organizować robotników, przekonywać ich do partyjnych racji.

Żywimy się wciąż złudzeniem, że walka o zaufanie ludzi rozgrywa się tylko w sferze propagandy, że możemy ją wygrać, jeśli będziemy lepsi w oskarżeniach czy hasłach. A przecież propagować — znaczy zjednywać, przekonywać do czegoś, wspierać konkretne rozwiązania, jakich oczekuje społeczeństwo. Inaczej będą to słowa, które egzystują w społecznej próżni, nie mają siły oddziaływania.

Dziś w tym zawiera się problem numer jeden: jak wrócić do ludzi? Być wśród załóg, mieć pełną informację o wszystkich społecznie ważnych problemach, uprzedzać przeciwników. Mówiąc krótko — wyjść z biurek. Aby nie było aż tak, że Komitet Dzielnicowy w dużym mieście cieszy się z przyjazdu kapitana z Warszawy, bo nareszcie może kogoś skierować do zakładu pracy, który od kilku miesięcy o to zabiega.

Wiele wskazuje na to, iż nadal są powody, żeby oskarżać kadrę aparatu partyjnego o działanie w starym, niedobrym stylu. Rozliczenia właściwie trwają, ale czy aby na pewno według ideowo słusznej miary? Kiedy zaczniemy rozliczać po prostu za marazm, za brak klarownych koncepcji, za błędy taktyczne, za bicie słownej piany przy różnych okazjach (głędzenie w stylu: wiecie... rozumiecie...)?

Tego rodzaju krytykę ze strony własnych towarzyszy, jak dotąd, stopowało się w imię fałszywej jedności na zasadzie: nie oskarżamy się sami, bo wystarczy, że biją w nas inni. Był to zawsze bardzo szczerzy parawan dla nierobów, usłużnych karierowiczów, jakich sporo wkręciło się do aparatu partyjnego drogą selekcji negatywnej. Ożgę dotąd trzyma się mocno. A wiadomo, że obrona skompromitowanych urzędników, partyjnych czy państwowych pseudodziałaczy zawsze kosztowała i szkodziła najwięcej.

plk STANISŁAW KWIATKOWSKI

Artykuł powyższy podajemy za „Zolnierzem Wolności” (21 I 1982 r.). Tytuł pochodzi od redakcji.

A PROPOS

Jeszcze nie tak dawno, kiedy nasza zlotówka zdecydowanie traciła walory motywacyjne, zauważyć było można zjawisko wzrostu szacunku dla różnych funkcji i tytułów: kierowników, dyrektorów, ekspertów, doradców, rzeczoznawców, rzeczników, specjalistów młodszych i starszych — nie sposób wymienić wszystkich. Wielu angażując się do pracy chciało od razu być kimś, coś znaczyć. Znajomy szef jednego z SKR-ów kilkakrotnie w ciągu paru miesięcy umieszczał ogłoszenie w publikatorach, że poszukuje pastucha. Nikt się nie zgłaszał. Dopiero gdy wpadł na pomysł i anonsował o poszukiwaniu „kierownika stada” w jednym dniu zgłosiło się aż pięciu kandydatów.

NIE TYLKO ALA MA KOTA...



Tego niegroźnego kota na punkcie nomenklatury ma jeszcze wielu ludzi. W sytuacji nie do pozazdroszczenia natomiast znajdują się ci, którzy przystoiwiewego kota mają na ile różnych zakupów (w myśl zasady: brać co jest i jak leci), bowiem w wyniku starań ulubieńca redaktorów prof. Krasińskiego zmuszeni będą mocno ograniczyć swoje zapędy.

Przed kilkoma dniami na przykład nie mogłem ochłonąć ze zdumienia, kiedy okazało się, że potowa mieszkańców Legnicy nie ma kolder i dywanów, zaś większość pań nagle musi koniecznie mieć nowe torebki. Nie obeszło się przy sklepach z tymi przedmiotami bez obecności niezawodnej armii. Innym razem byłem świadkiem anegdotycznej niemal scenki. Do największego magazynu wpadła zdyszana mama z nieletnią córką. „Co dają?” krzyknęła na widok kolejki przy najbliższym stoisku. „Gumy” — ktoś uprzejmie odkrzyknął. Pozostawiając córeczkę w kolejce, pobiegła na dalsze zwiaady. Po dłuższej chwili pociecha odnalazła opiekunkę i z pytaniem „A jak to się żuje?” — pokazała (ze znakiem jakości zresztą) dwie sztuki z asortymentu do żucia raczej trudnego...

Nie ukrywam, że nawet umiarkowanego optymizmu nie wzbudza we mnie fakt, że sporo ludzi w dalszym ciągu kupuje bezkrytycznie różne tanie demagogiczne hasła, tendencyjne obieguowe opinie, zwyczajne plotki. Smutne. Dobrze więc, że nieco humoru wniosły zaprezentowane fragmenty archiwidowskie w reżyserii prezydenta Ronalda Reagana. Oto „żelazna dama” z iście kobiecą przewrotnością grzmiała o wolności i swobodach obywatelskich, podczas gdy w imperium przez nią rządzonym już kilku młodych Irlandczyków zmarło w więzieniu śmiercią głodową. Oto premier kraju, w którym od dwóch lat twarde rządy sprawuje wojsko, występuje przeciwko zaprowadzeniu ładu przez armię w innym państwie. Całe szczęście, że od czasów króla Jana przestaliśmy się zbyt łatwo Turkami przejmować...

Podobno Reagan — ten najlepszy aktor wśród prezydentów nie zamierza poprzestać na jednym programie. Jak bowiem dowiedziałem się z kół najbardziej zbliżonych i źródła najlepiej poinformowanych:

„Nowym wiadomościom zamierza uraczyć nas z czasem, tym razem pod tytułem „Azeby Teksas był Teksasem”.

Cóż, pożyjemy, zobaczymy.

BRONISŁAW FREIDENBERG

P.S. Bardzo często u szczeru polsko polowi ją się wyraźne sentymenty do starych profesji. Często słyszę się przypominanie o tym na ogół czy narodom. Na przykład Amin organizował dla swych poddanych wielkie widowiska pości... Mao — przepływanie groźnych rzek Reagen — monstrualne programy telewizyjne. Nie będe tuil, iż marzy mi się czasem prezydent na przykład byłby doskonały zaopatrzeniowiec. B.F.

● Są osoby, które w trakcie swojego społecznego stażu przeżyły kilka zmian sztytów w legnickim budownictwie. Mimo to wciąż nie są lokatorami, lecz oczekującymi na mieszkanie. Czym tłumaczyć ostatnią reorganizację?

— Od pierwszego stycznia br. przestał istnieć Kombinat Budownictwa Ogólnego w Lubinie, w którego skład wchodził legnicki Zakład Budownictwa Ogólnego. Reorganizacja ta wypłynęła od załogi, od samorządu robotniczego. Zostaliśmy samodzielnym przedsiębiorstwem, które chce decydować o swoich losach i odpowiadać za swoją pracę. Likwidacja kombinatu nastąpiła również ze względu na reformę gospodarczą, czyli konieczność utworzenia w budownictwie silnych, dobrze zorganizowanych przedsiębiorstw, które będą w stanie sprostać zasadzie samofinansowania.

● Ostatni rok przed reformą zakończył się generalnie w kraju spadkiem liczby oddanych mieszkań o ok. 30 proc. w porównaniu z rokiem 1980. Jak pracowało ZBO?

— Oddaliśmy do użytku 35,5 tys. m kw. powierzchni użytkowej: 687 mieszkań, 2349 izb. Głównie na Piekarach w Legnicy, a także w Złotorzy — 4 budynki oraz Jaworze — 1 budynek. Wykonaliśmy też 1594 m kw. budownictwa towarzyszącego. Są to wyniki o ok. 12 proc. gorsze od roku 1980, w którym zbudowaliśmy 802 mieszkania i 2693 m kw. budownictwa towarzyszącego.

● Wszyscy wiedzą o brakach cementu, o postojach w fabrykach domów. Rozpoczęła się także reforma. Budownictwem rządzą nowe mechanizmy ekonomiczne i nowe ceny. Przy czym wiele tu jeszcze niewiadomych. Czy pytanie o plan na ten rok ma w ogóle sens?

— Raczej nie. Mogę odpowiedzieć jednak, jak wygląda prognoza naszej pracy. W budownictwie mieszkaniowym ze względu na sytuację w zaopatrzeniu założyliśmy efekty na poziomie 1981 roku. To znaczy, że chcemy oddać do użytku 711 mieszkań o łącznej powierzchni 35 tys. m kw. Natomiast w budownictwie towarzyszącym przewidujemy wzrost do 19 tys. m kw.

● Skąd taki skok?

— Jesteśmy chyba jedyną firmą na Dolnym Śląsku, która buduje jednocześnie tyle szkół. W ciągu trzech lat będzie ich pięć! W tym roku chcemy oddać do użytku szkoły przy ul. Marynarskiej i 3 segmenty szkoły na osiedlu Kopernik II.

● Podstawowym warunkiem istnienia przedsiębiorstwa w nowych warunkach jest jego samowystarczalność finansowa. Czy wasza prognoza na 1982 rok bierze to pod uwagę?

Z JOZEFEM DĄBROWSKIM — dyrektorem Legnickiego Przedsiębiorstwa Budowlanego rozmawia Grzegorz Chmielewski.

— W budownictwie o samofinansowaniu nie można jeszcze mówić. Startujemy z zupełnie innych pozycji niż większość przedsiębiorstw przemysłowych. Musimy wykonać dwa manewry: ponieważ byliśmy firmą planowo deficytową, musimy doprowadzić do tego, żeby nie przynosić strat. Potem należy dążyć do osiągnięcia zysków. Dzisiaj jest to czysta teoria. Na przykład nie ma cenników na materiały i na roboty budowlane. Ostatnio cena realizacji jednego metra kwadratowego p.u. wynosiła ok. 8 tys. zł, a koszt realizacji był niewspółmiernie wyższy. Spodziewamy się, że podrożeje kilkakrotnie. Musimy przeprowadzić zupełnie nową kalkulację kosztów budowania, ale na razie zbyt dużo w niej niewiadomych...

● Nasze budownictwo jest ogromnie kosztowne i materiałochłonne. Poza tym sprawia użytkownikom wiele kłopotów. Domy nie są szczelne i marnuje się wiele ciepła. Płyty przemarzają. Wiele do zżyczenia pozostawia jakości wykończenia mieszkań. Należy się spodziewać, że kryzys i reforma wymuszą jakieś nowe sposoby rozwiązywania problemu mieszkaniowego...

— Można spekulować na temat budownictwa z cegły. Ale tu jest podstawowa bariera: brak cegieł! Na I kwartał zamówiliśmy 280 tys. sztuk, potrzebnych do wybudowania ścianek działowych. Dostaliśmy potwierdzenie dostawy 140 tys. Inna rzecz, że cegła teraz jest droga. W warunkach reformy nie jest to sprawa zasadnicza, bo jeżeli inwestor zapłaci, to zbudujemy. Uważam, że w dzisiejszej sytuacji mieszkaniowej nie odstawimy od technologii wielkopłytowej, która zapewnia największą ilość mieszkań. Trzeba też wziąć pod uwagę to, że posiadamy ogromny majątek zainwestowany w fabryki domów — wytwórnie wielkiej płyty, który trzeba wykorzystać.

● Jeżeli chodzi o inne technologie to znamy przecież budownictwo monolityczne.

— Tak. Ale praktyczne wdrażanie tej technologii wymaga znów nowych nakładów, a na to nas nie stać.

● Jak wygląda tegoroczna zima na budowach?

— W czasie mrozów przyhamowano roboty betonowe i montażowe. Kontynuowaliśmy wykańczanie mieszkań, szkół i pawilonu. Część ludzi pozostawała w domu i mia-

ła wypłacane 75 proc. średniej płacy. Powstał paradoks: Ci, którzy pracowali czasem zarabiali mniej, z powodu warunków atmosferycznych i różnych trudności zaopatrzeniowych. Paradoks ten umożliwiony jest przez obowiązujący wciąż system płac. To ten system zmusza do stosowania tzw. długiego ołówka. Przecież najniższa stawka w budownictwie — 12,90 zł na godzinę — nie zapewnia nawet minimum socjalnego. Opracowany jest nowy taryfikator płac, w którym położono nacisk na ścisłą współzależność efektów pracy, nie tyle ilościowych co jakościowych, i płacy. Każdy dzień zwłoki w jego wdrożeniu wpływa ujemnie przede wszystkim na stosunki międzyludzkie oraz na wynik ekonomiczny.

● Przymusowe urlopy, braki w zaopatrzeniu — wszystko to negatywnie wpływa na atmosferę wśród ludzi. Poza tym kryzys gospodarczy grozi, mówiąc wprost, redukcjami pracowników. Jak w LPB wygląda sprawa zatrudnienia?

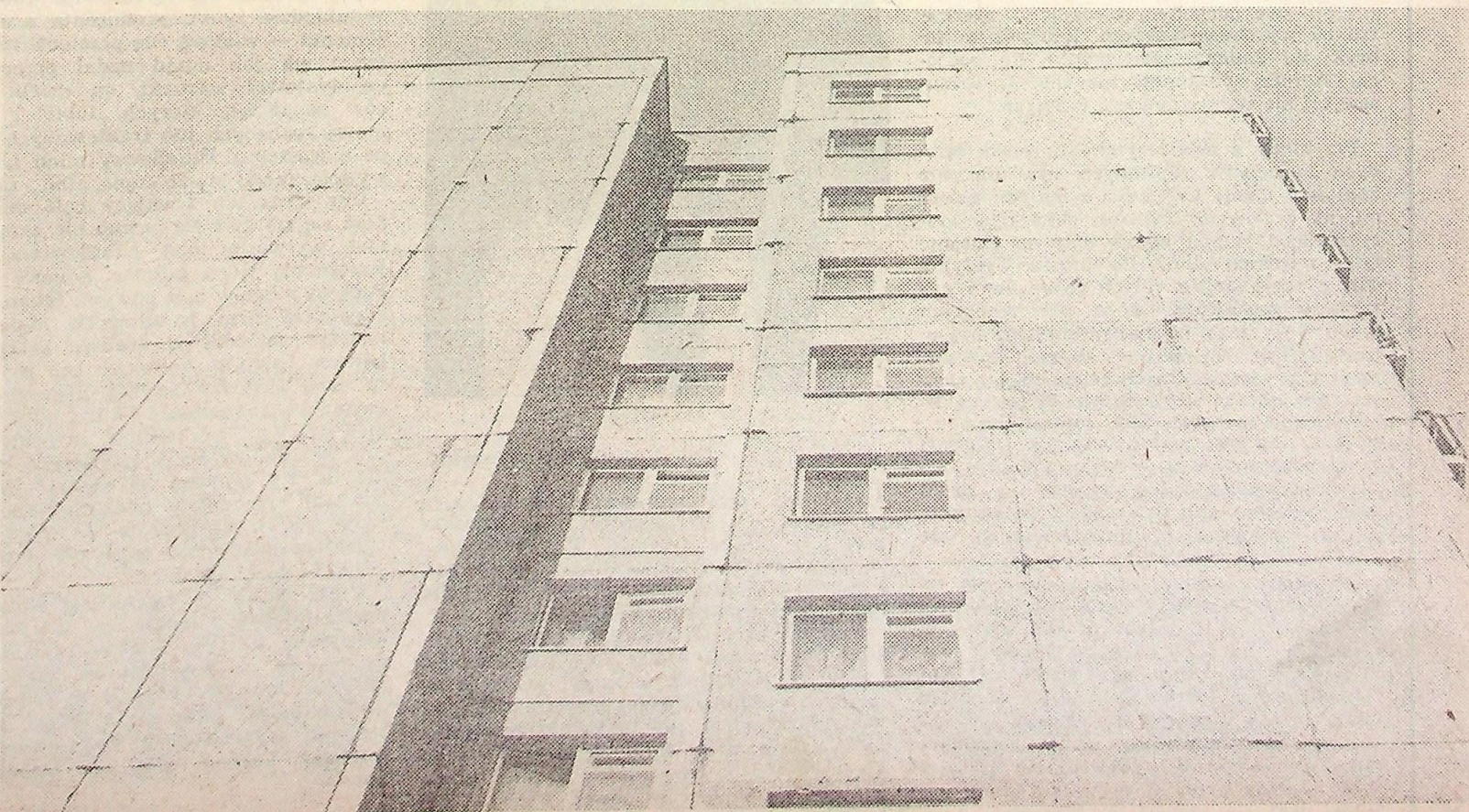
— Zdajemy sobie sprawę z tego, że musi działać rachunek ekonomiczny. Jeżeli nie będzie materiałów i pracy, będziemy musieli ograniczyć wielkość załogi. Nie jest to jednak posunięcie łatwe, ani bezbolesne. Dla załogi i dla przedsiębiorstwa. W końcu potrzeba kilku lat, aby dopracować się dobrej, fachowej kadry. Uważam, że lepiej rok, czy pół roku przytrzymać ludzi, przetrwać najgorszy okres niż ich stracić. Inna sprawa z pracownikami nieprodukcyjnymi. Zatwierdzony schemat przedsiębiorstwa przewiduje w LPB na tych stanowiskach 162 osoby. Uważamy, że bez szkody dla firmy można zejść do niższego pułapu. Odpowiednia organizacja pracy umożliwi, moim zdaniem, obsługę przez tę grupę dzisiejszej wielkości produkcji — ok. 200 mln zł — a nawet 300 mln zł w dotychczas obowiązujących cenach.

● Zreasumujmy więc naszą rozmowę: czy reforma da więcej mieszkań?

— Powiem szczerze, że dziś zbyt mało jest wiadomych, aby powiedzieć tak lub nie. Mieszkań będzie więcej, jeżeli będzie się opłacało budować, jeżeli zawody związane z budownictwem będą atrakcyjne finansowo, jeżeli będą materiały. Z drugiej strony powstaje problem, kto będzie za te niewątpliwie droższe mieszkania płacił? Czy wszystkich oczekujących stać będzie na nie? Myślę, że w tym roku nie będzie jeszcze efektów ilościowych wprowadzenia reformy. Ale już w przyszłym nowe mechanizmy powinny zaprocentować.

● Dziękuję za rozmowę.

CZY REFORMA DA MIESZKANIA?



Głogów. Osiedle przy ul. Poczdamskiej.

Fot. Krzysztof Raczkowski

CENY NIE MOGĄ KRYĆ PARTACTWA

Zima jest dla naszych handlowców pełna niewiadomych i niepokojów; po raz pierwszy bowiem ludzie spod znaku Merkurego stanęli przed powszechną, bezprecedensową w swej głębokości i rozległości zmianą cen. Na dobrą sprawę od wytwórców — z kłuczowych zakładów przemysłowych dopiero teraz zaczynają spływać coraz szerszym strumieniem propozycje nowych stawek za produkowane towary. „Nowych” — to nie znaczy jeszcze wcale „ostatecznych”; słuszniej byłoby opatrzenie ich innym przymiotnikiem — bo są to ceny przejściowe! Już po wprowadzeniu nowych cenników zaopatrzeniowych, ale zazwyczaj jeszcze przed przedłożeniem propozycji ze strony dostawców części, podzespołów i wielu surowców. Tak więc musi minąć jeszcze kilka tygodni, zanim znane będą wszystkie elementy kalkulacyjnego rachunku z jednej strony, z drugiej zaś — ostatecznie najgłębiej interesująca nas, klientów, cena detaliczna produktu.

KOGO NA TĘ BĘDZIE STAC

Zanim jednak dojdzie do wyjaśnienia wszystkich „ale” i ostatecznego ustalenia cen — już teraz, z przedkładanych przez producentów propozycji można dość łatwo dojść do pierwszych wniosków. Niektórzy wytwórcy „zaśpiewali” za swe towary ceny od jakich człowiekowi nawet nieźle zarabiającemu cierpieć skóra. Ekskluzywne sprzęty można zaliczyć do towarów luksusowych, których cena zbytu obłożona będzie „programowo” wysokim podatkiem od luksusu. Zgoda. Ale można też zaraz postawić inne pytanie: ilu ludzi, z tych sytuowanych powyżej średniej — stać będzie na tego rodzaju przedmioty w czasach, kiedy bardzo znacznie wzrośnie koszt utrzymania, a więc żywności, opału, energii?

Kiedy kilka dni temu gdy rozmawiałem z handlowcami bardzo wyraźnie sprecyzowały oni swe obawy: my wcale nie jesteśmy zainteresowani nadmiernym forsowaniem cen, bo chcemy towar sprzedać! Do tej samej prawdy rychło też dojdzie w warunkach trzech „S” — także i wytwórcy. Przewidujemy swoistą rewolucję na rynku. Po pierwszym szoku na widok metek z nowymi stawkami cennikowymi klient — kalkulując swe dochody i wydatki — zacznie szukać wyrobów tańszych. Zmusi to fabryki do zmiany asortymentu, do podjęcia szerszej produkcji nie modeli luksusowych, ale standardowych, tańszych.

Przykłady z ostatniej chwili: wiele młodych małżeństw zapisanych było na całe komplety mebli. Czy ludzi z małymi dziećmi, na życiowym dorobku, obłożonych pożyczkami i ratami będzie stać na płacenie tych wysokich sum? Po prostu słyszymy dziś o rezygnacji z całych zestawów i pytania, o możliwość kupna poszczególnych mebli — tego co najistotniejsze, najpotrzebniejsze: tapczanów, stołów, krzeseł, szafy czy poszczególnych segmentów o wysokich walorach użytkowych. Elegancka linia? Piękno modelu? Tak, niewątpliwie — to wszystko jest ważne, lecz nie wątpimy, że w konfrontacji z wysokim pułapem cen takie przymioty zjedzą niestety na drugi plan. Masowy odbiorca będzie szukał wyrobów praktycznych, funkcjonalnych, ale nade wszystko w miarę taniach.

Oczywiście, zasada przedstawiania się na wyroby standardowe obejmie nie tylko meblarstwo, ale w praktyce prawie wszystkie gałęzie produkcji — głównie przemysł lekki z obuwem, konfekcją i dziewiarstwem na czele. Musi też o standardach pomyśleć elektronika i przemysł maszynowy wytwarzający zmechanizowany sprzęt gospodarstwa domowego. W rysującej się sytuacji tylko szalony dyrektor — wobec braku gotówki jaki się pojawi po likwidacji owe-

go słynnego „nawisu inflacyjnego”, nie rozwinie produkcji towarów powszechnie poszukiwanych.

RATY CZY PRZEDPŁATY?

W rysującej się teraz tylko „zgrubnie” sytuacji trudno przewidzieć jak ukształtują się podaż i popyt. Nie należy okazywać tu nadmiernego optymizmu i wierzyć w to, że fabryki potrafią od ręki, zaraz w ciągu tygodni szybko i sprawnie zmienić profil swej produkcji. Takie zmiany dokonują się zazwyczaj dopiero po dwóch, a niekiedy nawet 3-4 kwartałach. Przecież nasz przemysł kontraktuje swe wyroby z reguły z półrocznym wyprzedzeniem. To znaczy, że na modele, które nosimy późną jesienią i zimą handlowcy podpisują umowy podczas giełd odbywających się wiosną i odwrotnie — towary typowo letnie są przedmiotem negocjacji jesienią poprzedniego roku.

Nie ma więc dziś takiego mądrego, który w istniejącej niepewnej sytuacji (dostawy surowców, półfabrykatów i części z II, wolnodewizowego obszaru płatniczego!) zaopa-

ze na miejsce tych, którzy z kolejki odchodzą — znajdą się nowi chętni. A po trzecie — nikt nie wie, jakie wielkie będą dostawy poszukiwanych towarów z fabryk — nie tylko w skali całego bieżącego roku, lecz nawet w krótszych terminach, no powiedzmy — kwartalnych!

Wobec tylu niejasnych czynników Ministerstwo Handlu Wewnętrznego i Usług zastanawiając się nad koncepcją nowych form zbytu (celowo nie piszę „sprzedaży”) towarów przemysłowych — zaczyna się skłaniać ku tak zwanym przedpłatom kroczącym. Jak mają one wyglądać w praktyce? Ano — przyjdziemy do sklepu, wpiszą nas na listę potencjalnych nabywców powiedzmy automatu pralniczego i... właśnie — i będziemy sobie w tasemcowej, nieograniczonej długości kolejce chętnych czekali. Nikt nam nie powie jak długo i nikt też nie zagwarantuje ile ewentualnie za takie urządzenie zapłacimy w dniu, kiedy przejdzie nasz termin odbioru.

Wprawdzie dziś gwarancje cenowe obejmują tak przedpłaty, jak i rolników, ale jak będzie jutro, w układzie kiedy cenniki będą się zmieniały częściej niż dotąd?

USTAWA — JUŻ W SEJMIE

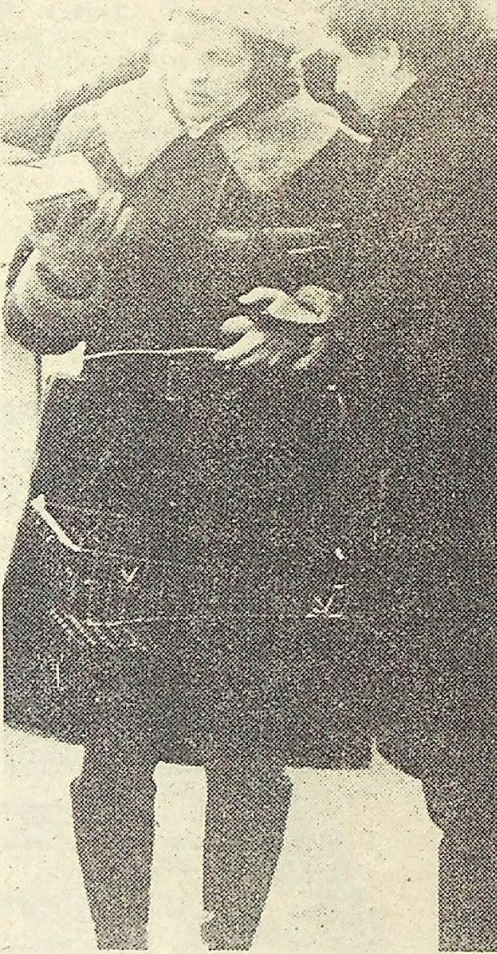
Niezwykle ważnym aktem prawnym, który może do pewnego stopnia rozświetlić obraz kształtowania się przyszłych cen jest znajdującą się obecnie w Sejmie ustawa normująca te sprawy. Dzis dyskutują nad jej ostatecznym kształtem redakcyjnym specjalistyczne komisje, podkomisje i zespoły robocze; jutro trafi ona na plenarne posiedzenie Izby.

Ustawa cenowa zawierać będzie nie tylko pewne prawne rygory ustalenia cen, ale niewątpliwie wprowadzi zmiany — i to dość zasadnicze — w instytucjach kształtujących cenniki — jak się słyszy — powoła specjalny pion inspekcyjny. Właściwie: w moim przekonaniu nawet w warunkach trzech „S” państwo nie może zostać pozbawione instrumentalnego wpływu na tak niezwykle społecznie ważny odcinek jak koszty utrzymania. Nie sposób sobie wyobrazić oddania w pełną w pacht producentowi całości kształtowania cen detalicznych — bez uwzględnienia funkcjonowania czynnika kontrolnego.

Jak dotąd handel — bo o nim dziś tu głównie mówimy — ma zapewniony wgląd w kalkulacje kosztów wytwarzania (jeżeli w grę wchodzi możliwość negocjacji). Nie wolno jednak zapominać, że jest to możliwość bardziej teoretyczna niż praktyczna. W układzie rynku producenta a nie konsumenta — większą siłę przebiecia miał zawsze i ma jak dotąd nadal przemysł. To on dyktował warunki, on dzielił odbiorców na takich, których „lubił” i na tych mniej kochanych lub traktowanych całkiem po macoszemu. Handlowcy mieli tylko dwa wyjścia: mogli towar kupić, albo... nie!

Czy teraz ten trwający całe dekady układ się zmieni? Na pewno nie zaraz i prymat wytwórcy nad handlowcem potrwa jeszcze nie jeden miesiąc, a może kwartał. Podczas rozmów nad nowymi cenami przedstawiciele firm handlowych muszą się nauczyć zaglądać w arkusze kalkulacyjne, bowiem parawan wysokich cen zbytu może za sobą skrywać zwykłą niegospodarność, partactwo, rozrzutność i kilka innych brzydkich przywar. Rozumiejąc, że podwyższanie cen jest ekonomiczną koniecznością, której nie da się uniknąć — słudzy Merkurego powinni precyzyjnie oddzielać uzasadnione racje swych dostawców od nieuczciwych machinacji mających jeden cel — bicie nas, klientów po kieszeni.

Rzecz jasna — trzeba się będzie taką docieklivością jednemu, czy drugiemu producentowi narażać. Ale bezkrytyczne zgadzanie się na wszystko, co kontraktujący podsuną, nabycie towarów za wszelką cenę — ostatecznie mija się z celem. Bo grozi jednym: wypelnieniem magazynów przedmiotami, których nikt nie będzie chciał kupić...



Fot. Krzysztof Raczowski

trzeniowej, przy wprowadzeniu wysokich cen zbytu — wiedziałby co ma produkować i w jakich ilościach. Trzeba pewnego upływu czasu, rozwiązania paru równań z mnogością niewiadomych — aby ustalić asortyment produkcji i wielkość serii.

Przy tak skomplikowanym układzie wszystkie zapisy, przedpłaty (nie wspominając już o rozwiązaniach z mocy prawa społecznych komitetach kolejkowych!) stają pod wielkim znakiem zapytania. Po prostu — po pierwsze wiele osób zapisanych na określony towar zrezygnuje, bo nie będzie ich stać na zapłacenie nowej, wysokiej ceny; po drugie — nie ma wcale pewności,

Od pierwszego lipca ubiegłego roku uspołeczniony sektor rolnictwa funkcjonuje według zasad samodzielności i samofinansowania. Minęło zatem już dość czasu, by pokusić się o próbę oceny wyników działania w nowych warunkach i zasygnalizowanie trendów rozwojowych, jakie rysują się przed rolnictwem. Z wicewojewodą legnickim KAZIMIERZEM BURTNYM i zastępcą dyrektora Wydziału Rolnictwa UW JANEM RĘKOŚMIEM rozmawia o tych problemach Jacek Broszkiewicz.

LICZYĆ Z OŁÓWKIEM W RĘKU

● Panie wojewodo, zazwyczaj przy jakiegokolwiek wymianie poglądów na temat rolnictwa za podstawę przyjmuje się istniejące realnie wielkie trudności i kłopoty, z jakimi boryka się ta dziedzina działalności. Skądinąd jednak wiadomo, że legnickie rolnictwo należy do przodujących w kraju i jako jedno z trzech województw wykonało ubiegłoroczne plany produkcji. Czyżby więc miniony rok sypnął samymi sukcesami?

Kazimierz Burtny: — Prawda jest taka, że w gruncie rzeczy nie ma się czym chwalić. Co prawda w ostatnich latach robiło się to i owo, budowało fermy, tuczarnie, ale co z tego? W tej chwili sytuacja jest taka, że stoimy przed problemem zatrzymania niektórych ferm drobiu. Na razie działają one niejako siłą rozpędu, ale już poczynają się ugruntowywać zasadniczy trend w postaci odchodzenia od hodowli w uspołecznionym sektorze rolnictwa.

● Nie takich efektów samodzielności spodziewał się przeciętny śmiertelnik. Mięsa wszak miało być więcej, a nie mniej...

Kazimierz Burtny: Takie są niestety realia wynikające z rachunku ekonomicznego. Zresztą prywatnie powiem, że osobiście jestem zwolennikiem systematycznego zwiększania produkcji zwierzęcej w sektorze indywidualnym. Dlaczego? To proste. Jeśli bowiem w sektorze uspołecznionym zużywa się przeciętnie siedem kilogramów paszy, by uzyskać 1 kg przyrostu wagi i jeśli porównać tę liczbę z dwukrotnie mniejszymi nakładami na ten sam kilogram w gospodarstwach chłopskich, to wnioski nasuwają się same. Po co więc marnować zboże? Niech PGR-y sprzedają zboże do uspołecznionych punktów skupu, natomiast rolnik musi mieć zagwarantowane te 250 kg paszy na jednego tucznika. Efekt? Wykorzysta się przy okazji różnego rodzaju odpady gospodarcze i w sumie produkcja będzie tańsza, a o to przecież chodzi. W wielkoprzemysłowym chowie zwierząt zazwyczaj nie jest możliwe wykorzystanie pasz i dodatków uzupełniających. Tam panuje technologia.

● W sumie wygląda na to, że PGR-y powinny zająć się wyłącznie produkcją zbóż...

Kazimierz Burtny: — Oczywiście. Jeśli PGR-y zaczęły produkować i sprzedawać zboże, wtedy — jestem o tym przekonany — znacznie wzrośnie hodowla w gospodarstwach drobnotowarowych, chłopskich.

● Zapewnienie, paszy to tylko jeden instrument owego przesunięcia...

Kazimierz Burtny: — Ale nie jedyny. Drugim — też o decydującym znaczeniu jest cena, a właściwie prawidłowa relacja cen produktów roślinnych i zwierzęcych. Jest to tym bardziej konieczne, że na razie mamy tak paradoksalną sytuację, że z arealów podobnej wielkości, skup zboża od gospodarzy indywidualnych jest pięć razy większy od skupu w jednostkach uspołecznionych i na dzień dzisiejszy wynosi 40 tys. ton. Chcemy, by ziemia rodziła wszędzie jednakowo i by płody rolne były racjonalnie zużywane.

● W ubiegłym roku legnicka ziemia szczerze rodziła...

Kazimierz Burtny: — Tak. W wyniku korzystnych warunków atmosferycznych zarówno w kraju jak i w naszym województwie uzyskano znaczną poprawę efektów produkcyjnych. Dotyczy to zwłaszcza zbioru zbóż, buraków cukrowych i roślin pastewnych. Jednak w wielu uprawach nie osiągnęliśmy zamierzonej wyższej plonów — głównie z powodu niedoboru nawozów sztucznych, środków ochrony roślin, a także maszyn i narzędzi rolniczych.

Jan Rękoś: — Trzeba tu jeszcze dodać, że zanotowaliśmy znaczny postęp w gospodarce ziemią. Włożono wiele wysiłku, by była ona racjonalna. Około 4 tys. hektarów ziemi należących przedtem do jednostek gospodarki uspołecznionej przekazano rolnikom indywidualnym. Były to głównie ziemie zaniedbane i słabo zagospodarowane.

Kazimierz Burtny: — Zamierzamy nadal prowadzić politykę przekazywania gruntów rolnikom gwarantującym ich właściwe wykorzystanie.

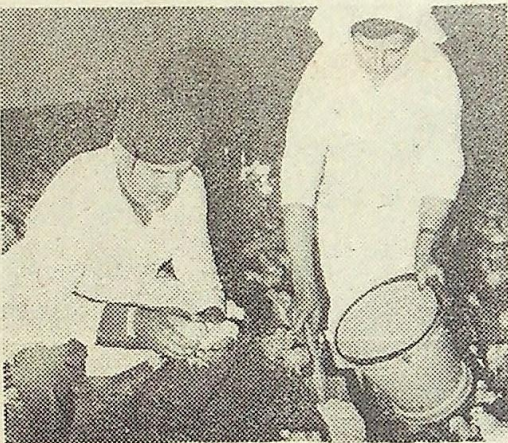
Jan Rękoś: — Ciągłe obserwujemy wzmożone zainteresowanie kupnem ziemi. Obecnie rozpatrujemy wnioski o kupno ziemi o ogólnej powierzchni 520 hektarów.

● Czy ten trend wykupu ziemi będzie się utrzymywał?

Jan Rękoś: — Sprzedaży z pewnością. Natomiast przekazywania chyba nie. To co miało być przekazane, już przekazano.

● Rolnictwo to taka dziedzina, w której prognozowanie i planowanie są wielce ryzykowne...

Kazimierz Burtny: — ...zwłaszcza, że ciągle borykamy się z trudnościami zaopatrzeniowymi — z brakiem nawozów, środków ochrony roślin, maszyn. Z takich to właśnie powodów plan zasiewów ozimin, który opiewał na 61333 hektary został wykonany



Fot. Krzysztof Raczkiowiak

w 90,4 proc. Przewidujemy, że konieczne będzie wiosną zasilenie tych obszarów nawozami. Inaczej zaistnieje groźba drastycznego spadku plonów. Tymczasem zaopatrzenie w nawozy nie nastraja optymistycznie. W kraju zakładano generalnie 191 kg na hektar, a w obliczu twardych realiów trzeba było przeprowadzić korektę do 181 kg. Niemniej w Legnickim sytuacja jest trochę lepsza. Po prostu dlatego, że nie jest u nas najgorzej z produkcją, więc otrzymujemy większe przydziały. Idzie jednak o to, by utrzymać wskaźnik nawożenia na poziomie ubiegłorocznym, tzn. 262 kg na hektar. A gwarancji na to nie ma żadnych.

Jan Rękoś: — Zresztą już teraz, na początku roku, obserwujemy piętrzenie się trudności. Samych nawozów azotowych otrzymamy ok. 30 proc. mniej. Jest rzeczą prawie pewną, że opracowany centralnie rozdziałnik będzie czystą fikcją.

● Czyżbyśmy więc znowu mieli taką sytuację, że plany ustala się biorąc pod uwagę potrzeby, a nie możliwości...

Kazimierz Burtny: — Wszystko na to wskazuje. Mamy jednak nadzieję, że nasze województwo zostanie potraktowane jako priorytetowe i otrzymamy potrzebne ilości nawozów. Dość powiedzieć, że na przykład plan skupu zboża gminy Udanin jest wyższy niż plany niektórych województw.

Jan Rękoś: — I to nawet kilkakrotnie! Gmina Udanin ma plan 4,5 tys. ton rocznego skupu, a na przykład całe Nowosądeckie jedynie 1 tys. ton.

Kazimierz Burtny: — Mówiliśmy wcześniej o planowaniu i prognozowaniu. Wiadomo, że jest to możliwe tylko wtedy, gdy istnieją pewne i prawdziwe dane. Tymczasem nie mając żadnych gwarancji dostaw materiałów potrzebnych do produkcji rolnej, musimy polegać przede wszystkim na tym, co daje doświadczenie, fachowość, właściwa organizacja pracy. Jasne, że nie zastąpią one tych 60 mln. zł dewizowych, których brakuje na zakup środków ochrony roślin, ale pozwolą na zmniejszenie strat.

● Czy istnieje rozeznanie, jakiej wielkości mogą to być straty?

Kazimierz Burtny: — Skutki niedoboru nawozów i środków ochrony roślin mogą być bardzo poważne. Przewidujemy, że możemy nie uzyskać planowanej wydajności z hektara. Spadek może nastąpić z poziomu 32 nawet do 27 kwintali z hektara. Ale jeśli rok bieżący będzie sprzyjał wegetacji, spadek może być minimalny.

● Niższe plony mogą stać się pierwszym ogniwem kłopotów z hodowlą...

Kazimierz Burtny: — To zrozumiałe. I niestety może to spowodować, że pod koniec roku nie będziemy mogli powiedzieć, że plany hodowli zostały wykonane i przekroczone.

● O ile mimo wszystko z pewnym spokojem można myśleć o perspektywach hodowli żywca wołowego i wieprzowego, to z hodowlą drobiu nie będzie chyba tak łatwo?

Kazimierz Burtny: — Poruszył pan bardzo istotny i niepokojący nas fakt. Przyszłość produkcji drobiu w naszym województwie stoi pod wielkim znakiem zapytania. Pierwszoplanowym zadaniem w obliczu braku pasz jest utrzymanie stada reprodukcyjnego. Gdyby doszło do tak drastycznej sytuacji, że trzeba byłoby wybić i to stado — wtedy na odtworzenie stanu z zeszłego roku wypadnie poczekać minimum dwa lata. Wielkość stada reprodukcyjnego niosek zamyka się liczbą ok. 100 tys. sztuk, a roczna produkcja drobiu kształtuje się w granicach 15 mln brojlerów. Jest więc co stracić.

● Można więc wysnuć wniosek, że skoro wysiłek zostanie skoncentrowany wyłącznie na utrzymaniu stada niosek i z powodu braku pasz zaprzestanie się produkcji brojlerów, kartkowe przydziały drobiu nie zostaną zrealizowane...

Jan Rękoś: — Tu nie ma się co oszukiwać. Tak się na pewno stanie. Ale trzeba będzie jakoś sobie z tym poradzić. Rozprawdzamy już pisklęta wśród rolników.

Kazimierz Burtny: — Największe w województwie zakłady drobiarskie w Prochowicach zmieniają w związku z trudnościami, o których mówiliśmy, profil produkcji. Produkować będą wyroby garmażeryjne takie jak podrobie wieprzowych i wołowych. Wszystko to pozwoli uniknąć redukcji wśród doświadczonych i fachowej załogi. Nie mówiliśmy o tym, ale trzeba wspomnieć, że drastycznie zmniejszy się także produkcja jaj.

Jan Rękoś: — Już w tej chwili przerabiamy, pewne ilości jaj na mączkę, by później, kiedy ich już w ogóle może nie być, utrzymać produkcję makaronów.

● Ogólnie rzecz biorąc, można powiedzieć, że i ciężar produkcji drobiu spadnie na gospodarstwa domowe?

Kazimierz Burtny: — Dzisiaj jest to pierwszoplanowe zadanie.

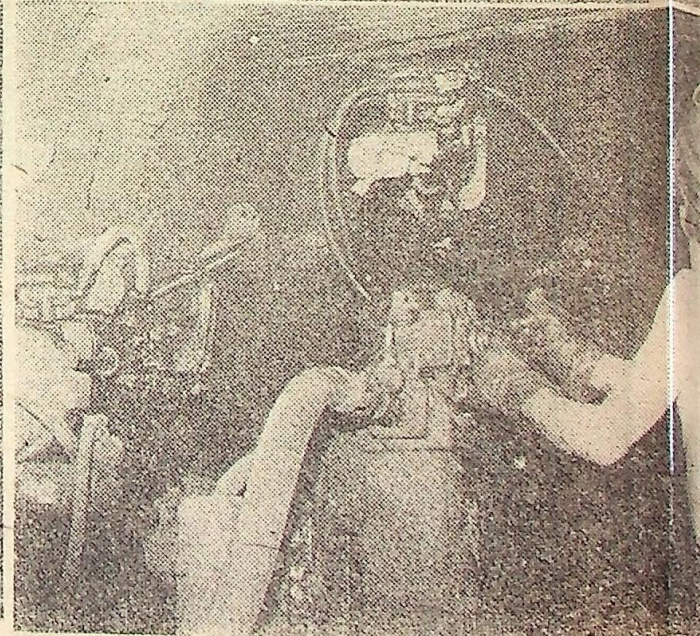
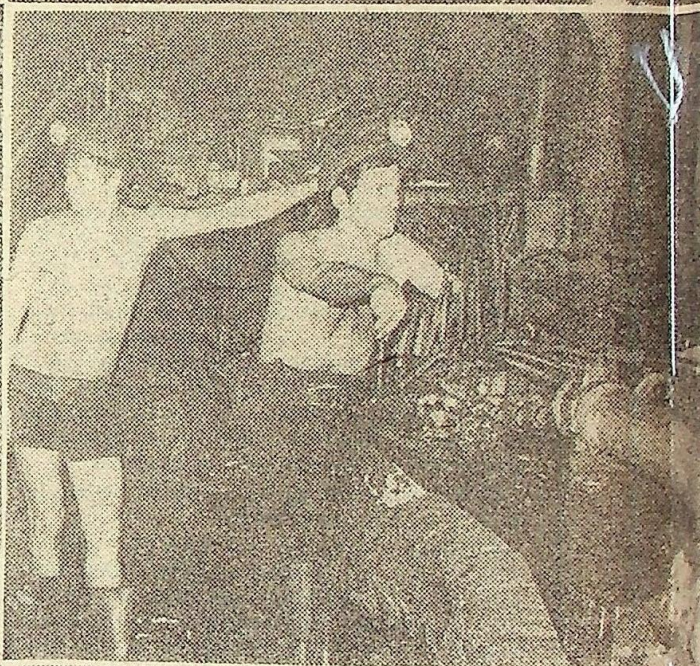
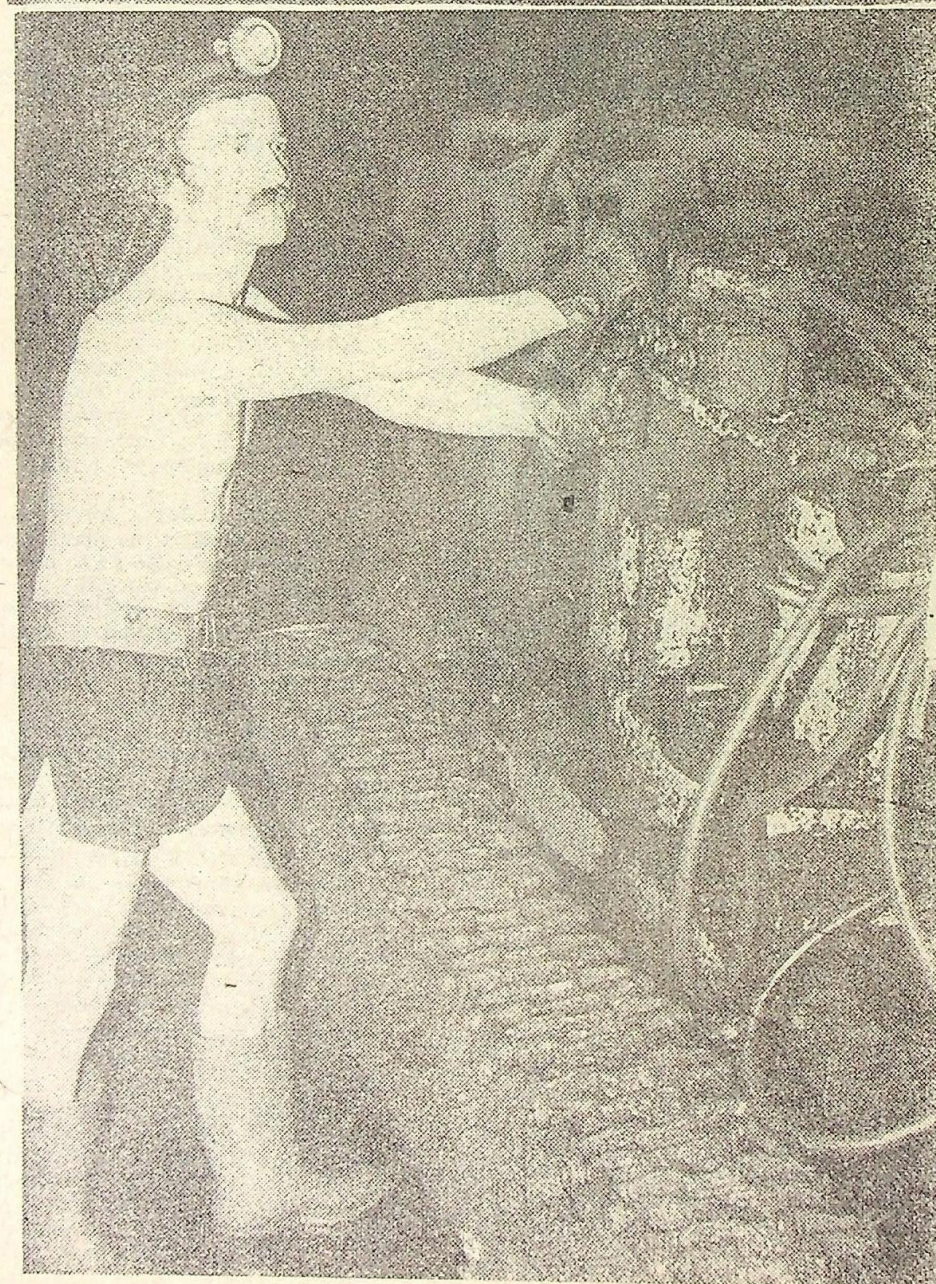
● Wszystko to, o czym do tej pory mówiliśmy, jednoznacznie wskazuje, że gospodarka indywidualna osiągała i — jak się przewiduje — będzie nadal osiągać lepsze efekty produkcyjne niż państwowy sektor rolnictwa. Dlaczego tak się dzieje?

Kazimierz Burtny: — Główną przyczyną jest w produkcji zwierzęcej niedostateczne zabezpieczenie paszowe. Jednostki produkcyjne są znacznie większe niż w rolnictwie indywidualnym. Specyfika produkcji polega na zastosowaniu wielkoprzemysłowych technologii, które zakładają straty paszowe...

● Świadczy to wymownie o ich doskonałości...

Kazimierz Burtny: — Nie ja kupowałem te licencje. Natomiast warto wspomnieć, że nasze rolnictwo jeśli już jest doinwestowane, to po jakimś czasie okazuje się, że nie w tym kierunku, w którym powinno być. Nasza szansa tkwi w samodzielności i samofinansowaniu uspołecznionego rolnictwa. Dyrektorzy muszą po prostu usiąść i z ołówkiem w ręku policzyć, jaka produkcja będzie opłacalna.

● Dziękuję za rozmowę.



TAK TRZYMAĆ!

Bardzo dobrze fedrują górnicy kopalni „Polkowice”. W styczniu br. przekroczyli planowe wydobycie o 8.756 ton, co stanowi 201 ton czystej miedzi w rudzie.

Wszystkie oddziały wydobywcze wykonały plan. Praca przebiegała spokojnie i rytmicznie, bez przerw i przestojów. Tak dobry bilans stycznia jest efektem wydłużenia pracy kopalni z 5 do 6 dni w tygodniu, a także wysokiej dyscypliny i zaangażowania załogi.

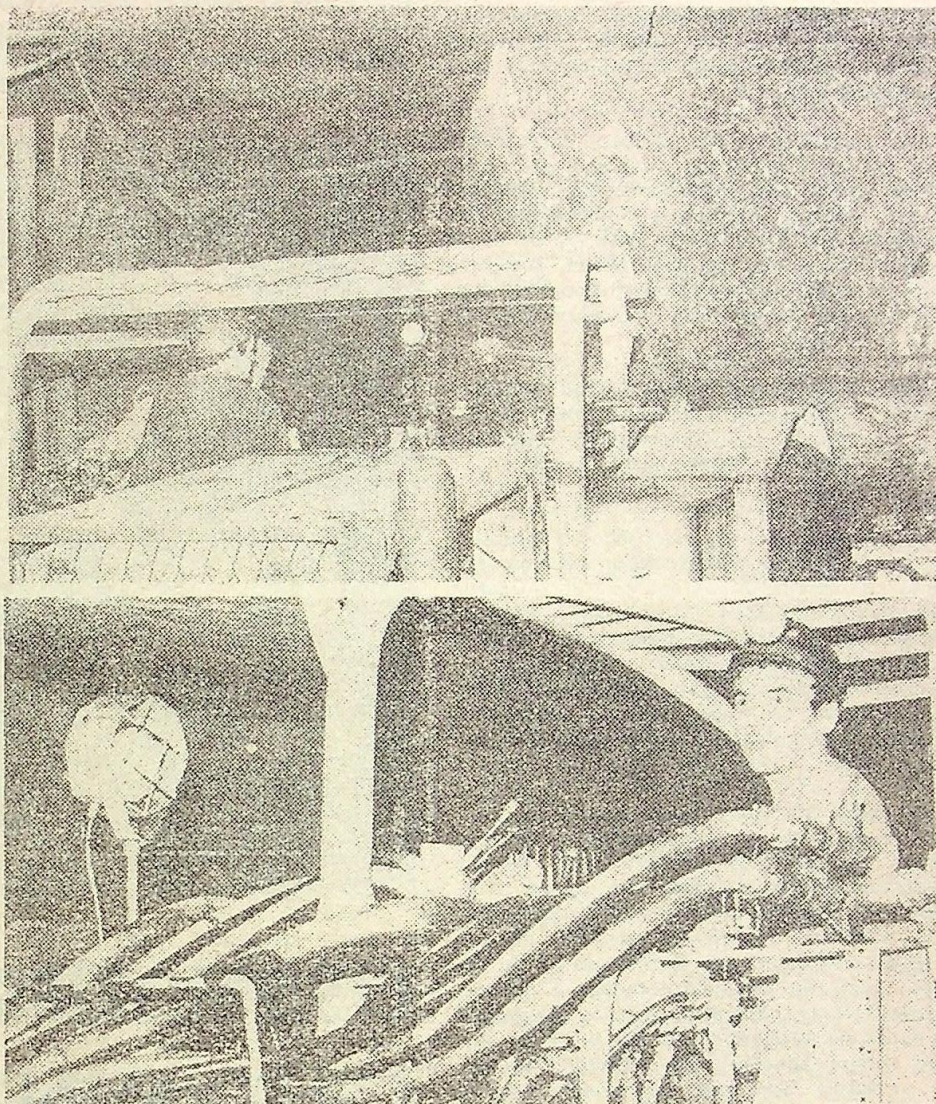
Należy podkreślić, iż kopalnia „Polkowice” — spośród wszystkich kopalń LGOM — wyróżnia się szczególnie trudnymi warunkami górniczo-geologicznymi, a trzy oddziały: G-21, G-23 i G-33 należą do najbardziej niebezpiecznych. (Na G-33 w marcu ubiegłego roku wskutek tąpnięcia zginęło czterech górników).

Kopalnia boryka się także z trudnościami zaopatrzeniowymi. Brakuje nie tylko tak podstawowych materiałów jak taśmy przenośnikowe, części zamienne i smary, lecz także ubrań roboczych, butów gumowych, a nawet... zwykłego mydła.

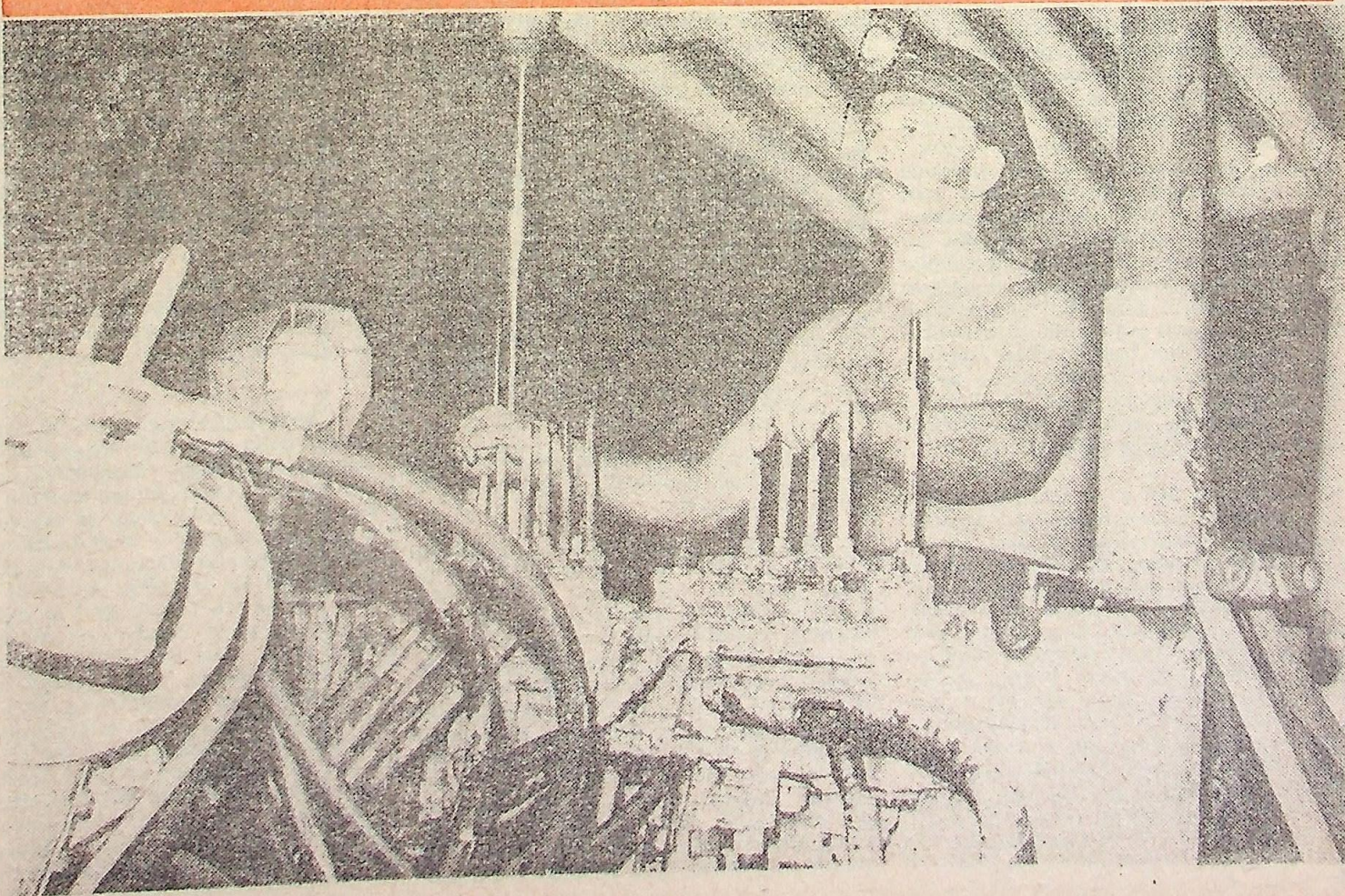
Górnikom „Polkowice” należą się więc słowa najwyższego uznania. Miedź, obok węgla, jest naszym najcenniejszym artykułem eksportowym — każda ponadplanowa tona jest dla naszej gospodarki na wagę złota. Dziękujemy!

(J.D.)

P.S. Fotoreportaż robiliśmy na G-14.



FOTOREPORTAŻ KRZYSZTOFA RACZKOWIAKA



Kołatanie w spróchniałą furtkę wreszcie usłyszano, mała kobieta w butach gumowych przystanąła na progu domu, za chwilę z gestem przyzwolenia otwiera zatrask, wpuszcza nas na grząską murawę podwórka. Kuchnia; przez dwa małe okna widać ogród i kawałek łąki. Spór wziął początek od tej trapezowatej łaty ziemi, o powierzchni malej grządki, ale te parametry nie mają znaczenia, przestały już dawno przemawiać do zdrowego rozsądku. Na ile bowiem można się odwoływać do rozsądku 80-letniego człowieka, który od paru miesięcy nie wstaje z łóżka z powodu postępującej choroby reumatycznej i astmy?

Okna sypialni, w której Józef Ankutowicz leży całymi dniami też wychodzą na ogród. Może widok ten jest dla niego swego rodzaju źródłem nikłych sił vitalnych, nie wiadomo jak jest. Pewne jest to, że nasza wizyta mocno go ożywia. Mówi jakby to było warunkiem uzyskania spokoju wewnętrznego, jakby chciał wyrzucić z siebie całe 15 lat sporu.

Zaczęło się przypadkowo. Sąsiad tutaj dostał od proboszcza szczepę topól, którymi był obsadzany cmentarz, topole zbywały, dostał je darmo i posadził na miedzy koło Ankutowicza:

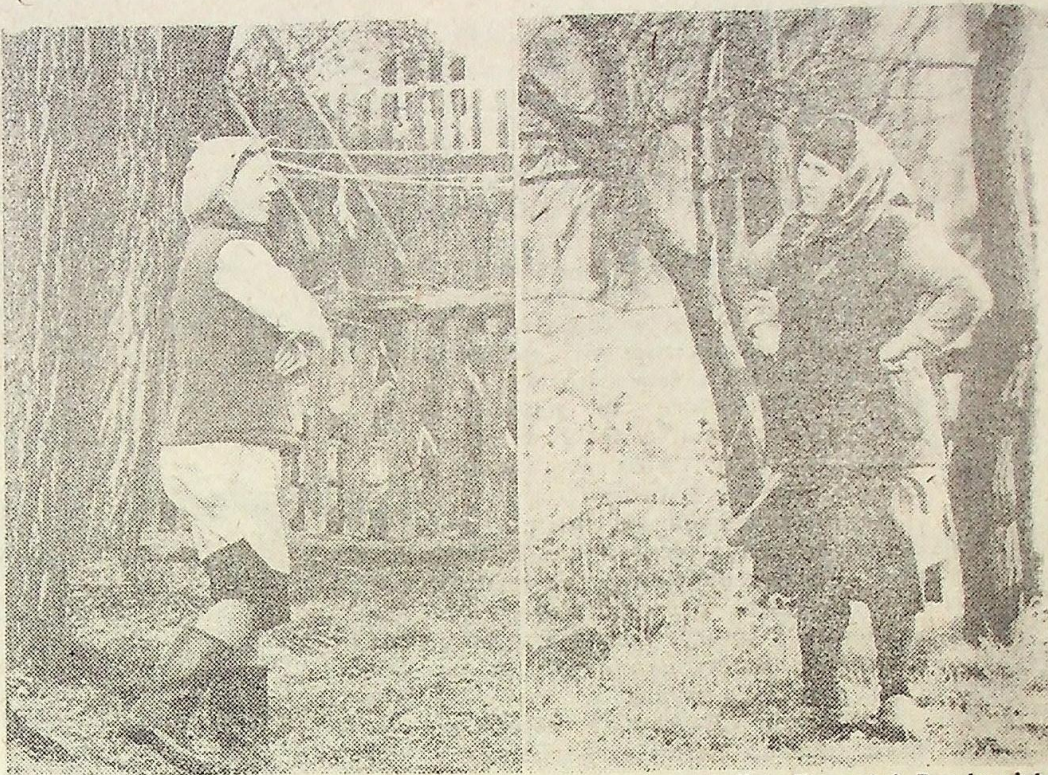
— Od początku mi się to nie widziało, po co te drzewa rosnąć mają koło samego płota? Mówiłem: Tutaj, jak one się rozrosną to co to będzie? Kiedy je zasadził, poszedłem do gminy. Przyjechał urzędnik z gminy, przyszli razem z soltysem, pooglądali, ale powiedzieli, że im tych drzew nie wolno wyrzucić, że nie mają takiego prawa, na to musi być powołana jakaś specjalna komisja.

Za jakiś czas poszedłem znowu do gminy. Przyszli jacyś i powiedzieli, że one muszą rosnąć, żeby krokwie byli. Znowu chodziłem, przewodniczący obiecał, że przyjedzie. Przyjechał, ale do soltysa. Soltys coś tam widocznie namówił, nagadał, że ten odjechał do Ścinawy. Zgniewało mnie to. Pojechałem do przewodniczącego i mówię: przewodniczący, dlaczego pan nie przyjechał do mnie do Wielowsi? On na to: było stać koło sklepu, takżeśmy się umówili. Jak my się umówili? Toż było się dziecka spytać — mówię — gdzie Ankutowicz mieszka. Soltys też by zaprowadził. Jakże tak panie dziejku mówisz. Ale skoro to było nieporozumienie, no to ja najem taksówkę teraz, to niech pan siada. Ale przewodniczący nie miał czasu. Wróciłem do domu, siadłem w brykę i pojechałem do Legnicy, do wojewody rolnictwa. On też powiedział, że nie ma czasu, bo jedzie w teren. Jego zastępca zadzwonił do Ścinawy do naczelnika. Naczelnik powiedział: dobrze, przyjadę. Czekam, czekam. Nie przyjechał. Tak ze wszystkim, bo ja stary, słaby, to mnie można okłamywać, można zwlekać.

Trudno powiedzieć czy w tym poczuciu krzywdy nie ma prawdy. Na dobre spór pomiędzy Józefem Ankutowiczem a Władysławem Tutajem zaczął się w 74 roku. Do powiatowego biura geodezji w Lubinie wpłynęła prośba Ankutowicza o wytyczenie granicy, w związku z tym, że Tutaj posadził drzewa i przestawił graniczniki. Przyjeżdżali geodeci, było ich trzech, może czterech. Każdy z nich mówił inaczej, każdy zostawiał szansę dla obydwu stron. Nadzieje na uzyskanie kawałka — piędzi ziemi prowokowały do zacietrzewiania się w gniewie.

— Na wiosnę Tutaj zaczął grodzić ode drogi. Wywalił całkiem nasz płot i wysunął swój płot na naszą stronę. Ja mu mówiłem: sąsiad, ty się nie pchaj. Jest sprawiedliwość, weźmiemy mierniczego, on nam pokaże granice. Pale zabijemy, ty jedną połowę grodził będziesz, a ja drugą. Zagrodzimy, moje kury nie będą po twoim chodzić, twoje po moim. Między nami zgoda będzie, bo sąsiad z sąsiadem ma lepiej żyć jak z bratem. Ty na swojej stronie stawiasz płot, a tego słupa granicznika nie wyrzucaj. Ale on nie. Jeno ze siekierą, panie dziejku. I co? Syn mój był, odebrał mu siekierę. Ja mówię: dzieci, na bok, bo on głupi jest. Wtenczas on się jeszcze bardziej rozłościł, wywalił płot na ogródek, porzeczkę połamał. Znowu ja, stary, poszedłem do gminy, ale i teraz nikt nie przyszedł. Ja myślałem, że się popłaczę. Ale co, widzę, że on cement leje, a prostuje granicę i moje zabiera. Więc

Spór trwający od piętnastu lat, wciągnął, jak wciąga woda w coraz większe głębie zapiekłej nienawiści. Wciągnął i przeniknął w domostwa, na jednym wycisnął pokaźne ślady zaniedbań, stał się powietrzem, żywiołem, od którego nie sposób się uwolnić, który wciąż prowokuje do coraz bardziej perfidnych słów, gestów, zachowań, w których zatracą się poczucie upływu czasu, poczucie własnej godności.



Fot. Krzysztof Raczkowiak

OSIEMDZIESIĄT CENTYMENTRÓW NIEZGODY

teraz ja-go do sądu podaję, niech sąd rozsądzi.

Ankutowicz wierzy w sprawiedliwość ostatniej instancji, być może spór o granicę jest jego celem ostatnich dni. A jednak chce go obedrzeć ze złudzeń pytaniem: czy rzeczywiście jest sens procesować się o te osiemdziesiąt centymetrów ziemi, dochodzić swego za każdą cenę?

— A jest sens. Bo to nie chodzi tylko o 80 centymetrów. Ja mu jeszcze w innym miejscu popuszczę 3 metry, ale tam na łące za stodołą ten kawałek o długości 100 metrów jest bardzo ważny. Ja tam mam rów, te topole rosną prawie w moim rowie. Korzenie nie przepuszczają wody, która płynie do rowu z podwórka. Ja mam tam spad, ale nie można go wyczyścić, bo z topól liście padają, patyki, korzenie nie pozwalają rowu kopać, woda się wstrzymuje, nie można meliorować. Przez to na łące jest mokro.

Ankutowicz przez chwilę odpoczywa po nazbyt długim monologu, a potem kontynuuje z rozżaleniem:

— Nie mam sąsiadów, nijak panie dziejku z nimi nie można w zgodzie żyć. A ile mi przez złość kur naniszczył. Kurka moja przeszła z drogi na jego stronę, to on wziął, złapał ją i złamał nogę. Potem ją powrotem rzucił na drogę. Ja panie dziejku patrzę, a moja kura kuśtyk, kuśtyk. Coś mi zrobił, mówię. On, że kura se sama złamała nogę jak ją rzucił przez płot. Jak kura sama złamie nogę ty nie klam! Poszedłem do soltysa z kurą. Nie na skargę, ale niech soltys wie jakiego mam sąsiada. Soltys nie powiedział, tylko pokiwał głową. Ale, panie dziejku, sprawiedliwość sprawiedliwością, on kurze nogi połamał i jego pokarało...

Przez zagraconą stodołę przechodzimy na tyły gospodarstwa i na pastwisko przyle-

gające do niego. Hanna Ankutowiczówna, córka i w przyszłości dziedziczka gospodarstwa pokazuje nam trapezowaty pas o długości 100 metrów i szerokości (w największym miejscu) osiemdziesiąt centymetrów. Płytki spad trudno nazwać rowem, jest tak mocno zarośnięty i zaniedbany.

Podczas gdy jeszcze przemierzamy pastwisko, z sąsiedniego gospodarstwa wychodzi starsza kobieta, żona Władysława Tutaja. Jest mało rozmowna, mówi, że z Hanką nie chce gadać, bo to głupie, nie potrafi wysłuchać drugiej strony tylko sobie coś ubzdurza, że jej chcemy ziemię zabrać. „My nie zabrali, ale też i swojego nie damy”.

Władysław Tutaj jest chory, nie wierzy jednak, aby to sprawiedliwość go pokarała. Gdyby tak rzeczywiście się stało, to by to znaczyło, że sprawiedliwości w ogóle nie ma.

— Ankutowicz nigdy nie chciał mi dać grodzić wzdłuż miedzy. Wtedy ja pomyślałem, żeby zasadzić topole. Zasadziłem, on mi nic nie mówił, potem jednak coś mu się zwiódziało i nic, tylko żeby je wyrzucić. Byli z gminy i mówili, że tych topól nie trzeba ścinać, że one są potrzebne. Ankutowicz nie chciał dać za wygraną. Zamówił geodetę. Ten przyjechał, pomierzył i okazało się, że wyszło na moje. Wtedy Ankutowicz ze siekierą latał, taka go złość porwała. Potem był inny geodeta, ten wyliczył, że trochę wyjechałem na Ankutowicza, więc wezwali my jeszcze jednego, a nawet dwóch przyjechało samochodem. Powiedział jeden z nich, że mi jeszcze brakuje trochę ziemi. Ankutowicz wtenczas stał i pytał: no jak tam panie inżynierze? Ten odpowiedział: do pana przyjdzie piśmko. Znaczy to, że to on niesłusznie się czepia, a nie ja.

Ze ja ode drogi grodził i na jego stronę wyjechał? Ze ja mu płot powalił? A by go trafiło! Zgnile deski upadli na moją stronę. Chciałem grodzić, a on nie chciał dać,

a sam by nie zagroził. On niech jeszcze na msze za mnie da, bo ja zagroził nie sobie, nie jemu, ale nam obu. Mnie cement kosztuje na podmurówkę, drut kosztuje, drewno w lesie kupiłem. Nie wiem dlaczego on taki durny. Boże mój, dlaczego mu tak mało. Sześć hektarów jego stoi u górem już drugi czy trzeci rok, a tu się bije o miedzę, o te topole. A co one mu złego robią? Ja się nie chcę kłócić, ale swojego nie dam. Nie dam i nie zetne drzew. Jak on taki durny, to niech sam je zetnie. Mnie nie wolno ścinać, ja zasadziłem. A że korzenie przeszkadzają, że zatrzymują wodę to nieprawda. Korzenie na moim są, a nie na jego. A woda mu się zatrzymuje dlatego, że nie wiadomo kiedy te rowy czyścił, one mu zarosły.

Tutaj jest mocno poirytowany, wierci się na krześle, posyła w stronę okna przez które widać dom Ankutowicza wrogie gesty:

— To taka łajza ostatnia. Jakbym miał z czego to bym sychnął przez okno, zabiłbym go. On miał wszystko: snopowiązałkę, pokładaczkę, wóz, młockarnię. Ganek taki śliczny miał i powalił. Wszystko zaprzepścił. Widziała pani z drugiej strony ten dom rozwalony? Dzisiaj za domami się ludzie biją, a on poderżnął, bo mu potrzeba było na opał, a do lasu nie chciało mu się iść.

Ja mu nie ujmuję, ja też jak on choruję, umieram, jeżdże co tydzień co dwa do lekarza do Lubina. Nogi mi popuchły, operację miałem ciężką, gdzie mi tam kłócić się. A on się czepia miedzy, topoli. Co chce? Był inżynier, powiedział, że to moje. Ale widocznie to takie ludzie. Ona Hanka chodzi pod chatę, słucha co się dzieje, kto z kim się kłóci... Bałwany stawia przed okno. Fasole nasadziła tak, żeby mnie w chalupie było ciemno cały czas. Ja jemu zawsze chciałem być sąsiadem. Żwir wywożę taczkami na drogę, aby suchą nogą można było przejść. Nawet jemu wysypałem trochę piachu, bo to przecież koło niego też chodzę. On stał wieniasz koło plotu i mówił: ty wiesz, ty możesz za dróżnika robić. A by ciebie trafiło, jak ja za dróżnika!

Słowa ciskane w gniewie, jedne od drugich mocniejsze, nasycone większą nienawiścią, słowa, które prowokują.

Która ze stron jest niewinna? Co kryje się za tym wszystkim? Honor, poczucie własnej odrębności, zakorzeniona odwieczna zasada chłopska: co moje, to święte? Świadomość, że ilość ziemi świadczy o statusie społecznym gospodarza?

W Urzędzie Miasta i Gminy w Ścinawie o sporze nie wiedzą wiele. Ktoś przypomina sobie, że Ankutowicz wielokrotnie przychodził, że się skarżył. Mówił, że mu się krzywdą dzieje. Kierownik działu rolnego Wincenty Pasek wyjaśnia:

— Ten człowiek spodziewał się, że za to, że on ma krzywdę to my mu przyjedziemy wytyczyć granicę. Ale my tak nie możemy, to się wiąże z olbrzymimi kosztami, kto ma je ponieść?

W urzędzie gminnym w Ścinawie są dokumenty dotyczące całego sporu, sprawa jednak nie mogła być załatwiona, argumentuje kierownik działu rolnego, gdyż kierownik wojewódzkiego biura geodezji rolnej w Lubinie zastrzegł ją sobie, jako bardzo poważną.

Kilka dni później jestem w biurze wojewódzkiej geodezji. Sprawa o wytyczenie granicy pomiędzy Tutajem a Ankutowiczem nie wpłynęła jeszcze. Dostępne są tylko mapy Wielowski sporządzone z pierworysu w 1963 roku. W biurze mówią mi, że na to aby zorientować się kto ma rację potrzebny jest czas. Trzeba wszystkie papiery przerzucić, a potem trzeba pojechać na miejsce do Wielowskiego, odnaleźć działkę numer 403, odszukać słupki graniczne. Takie pomiary kosztują, trzeba mieć zlecenie...

Ostatecznie więc sprawę rozstrzygnie sąd. Czy to jednak rozwiąże spór, czy znikną 15-letnie pretensje? Pretensje nabrzmiały, za którymi kryje się honor. Myślę, że gdyby urząd gminny zdobył się dziesięć lat temu na szybkie rozstrzygnięcie sprawy. Tutaj Ankutowicz mogliby żyć w dobrej sąsiedzkiej zażyłości.

Od kilku miesięcy Ankutowicz przestał przychodzić do urzędu. Sprawę przejęła córka, która wierzy, że finisz sporu o miedzę nastąpi właśnie w jej pokoleniu.

JOANNA WIŚNIEWSKA

ZWYKŁY NORMALNY DZIEŃ

Jest zimno, pada mokry, lepki śnieg. Na ulicach Legnicy w błędej poświacie nie wygaszonych jeszcze neonów strzepią się resztki nocnego mroku. Po śliskiej jezdni tańczą samochody, przed sklepami ustawiają się pierwsze kolejkki. Zaczyna się dzień. Jednego z takich zimowych poranków wchodzę do siedziby Zarządu Miejskiego PCK. Jestem spóźniony parę minut, więc trochę zły, bo może nikt nie będzie już na mnie czekał. Umawiałem się trochę „w ciemno”. Wiem tylko, że ma czekać siostra i... właściwie nie wiem. Ona chyba także tylko to, że ma przyjść ktoś z gazety.

Jest spięta, nieco zdenerwowana. Gdy wyciągam do powitania rękę, pochyła się, odstawia ciężką siatkę, z której wystają jakieś pakunki. Mówię, że chciałbym — jeśli się zgodzi — towarzyszyć jej w pracy w tym dniu. Nie protestuje.

Wychodzimy. Rozmowa rwie się co chwile. Jak to zwykle, gdy trzeba patrzeć pod rozjeżdżające się na śniegu stopy, spoglądać spoje lba na potracających przechodniów. Siostra STANISŁAWA SKRZYCKA nie zwraca na nich uwagi. Przyzwyczaiła się.

Te trzy adresy, pod które mamy zajrzeć, są na szczęście blisko siebie. Pierwszy, to mieszkanie młodej kobiety, cierpiącej na ciężką chorobę nóg. Pierwsza grupa inwalidzka. Wchodzimy na piętro galeriowca. Długi rząd omiatanych podmuchami wiatru szarych drzwi. Czysto. Żadnych chwytających za serce brudów, połamanych sprzętów — jedynych zazwyczaj świadków ludzkiego nieszczęścia.

Siostra otwiera drzwi. Ustępują lekko. Okazuje się, że wcale nie były zamknięte. Tę mają się cudem na jakimś skórzanym pasku. Młoda kobieta siedzi w kuchni na małym stoliku i myje okno. Jest nieufna. Pyta kto i po co. Przedstawiam się. Kiwa głową i zasyp mnie tyradą na temat swych wypaczonych drzwi. Ze tyle razy interweniowała w ADM-ie, że ciągle zbywają nieczym, że ma tego wszystkiego dość. Ludzie odwracają się plecami... Nie pozostaje mi nic innego, jak również pokłonić głową i przyrzec interwencję.

Siostra tymczasem wyładowuje siatkę. Patrzę na to i myślę, że „zabagnilem” sprawę, bo opuściłem najważniejszy punkt jej codziennych obowiązków. Zakupy. Gdy spotkaliśmy się w PCK, miała je już za sobą.

Po pół godzinie znowu drepemy po mokrych chodnikach. Siostra mówi, że ludzie w kolejkach krzyczą. Mimo podtykania pod nos legitymacji i zlecen wystawianych przez podopieczną Staje więc w kolejkach, jak inni. Jest na nogach już o wpół do szóstej, ma przyznosi ze sklepu mleko i pieczywo — dla nich i dla jej chorych. To ma z głowy. Musi wyprawić dzieci do szkoły, a potem po poważniejsze zakupy. Po mięso, masło, smietanę. Nagle sobie coś przypominam:

— To okno... Wie pan, tam, gdzie byliśmy — kłopotce mnie to tłumaczenie — okna umyłam niedawno. Zostało tylko to kuchenne...

Siostrą PCK jest dwa lata. Skończyła kurs. Sama, jak mówi, choruje na serce, ale w zasadzie nie przeszkadza jej to w pracy. Jej obowiązki układają się w zależności od tego, kim się zajmuje. Tej, do której teraz idziemy, musi gotować. Gościć. Chora może chodzić, ale ręce podnosi tylko do wysokości pasa. Siostra pomaga więc w myciu, sprząta.

Pierwsze piętro. Długo pukamy do drzwi. Nikt nie otwiera. Pytam, czy nie obawia się, że coś niedobrego się stało. Chyba nie, choć nie można i takiej możliwości wykluczyć. Chora jest osobą bardzo pobożną, często chodzi do kościoła. Chodzi, a właściwie kuśtyka. Siostra przychodzi zazwyczaj bardzo wcześnie. Dziś nie może, bo powieścił jej że przyjeżdża dziennikarz. A uprzednio nie miała czasu.

Idziemy więc pod trzeci adres obiecując sobie, że zajrzemy tu jeszcze.

Ulica Reymonta. Trzecie piętro. Mieszkanie sublokatorskie. Starsza pani (76 lat) zajmująca jeden pokój jest ciężko chora na wątrobę. Znowu przedstawiam się i słyszę:

— A co pan?

— Chciałbym napisać coś o pracy siostry, chyba nie ma pani nic przeciwko temu? —

pytam nie będąc pewnym reakcji starszej przeciwko osobie.

— O to złoty człowiek! Dnia jednego nie opuścił. Inne to przychodziły i raz w tygodniu, a ona co dzień. Wczoraj to się biedna nalatała ze trzy razy, bo i lekarz, i pogotowie, i...

— Nie mi siostra nie mówiła — zwracam się w stronę kredensu, gdzie siostra, nie zwracając na nas uwagi, wyciąga z siatki pół kurczaka, bułeczki.

— Co miałam mówić, przecież pan nie pytał.

— To było coś poważnego? — spoglądam na starszą panią.

— Tak — odpowiada siostra. — Babcia ma bardzo silne ataki bólu wątroby, kłopoty z żołądkiem. Ale jestem tu często. Mogę więc przewidzieć, czy taki atak nadejdzie.

Starsza pani, całując siostrę w policzek mówi: „Chciałabym, aby opiekowała się mną aż do śmierci”. Tani sentymentalizm? Dziesięć lat? Nie, to byłoby po prostu cyniczne stwierdzenie. Te dwie przytulone do siebie chwilę postacie łączą coś więcej niż współczucie jednej i bezradność drugiej. One po prostu się lubią. Jedna pomaga drugiej i to wszystko.

Przez chwilę zostaję sam ze starszą panią. Siostra wyszła wysypać do śmieci wiaderko popiołu. Babcia spogląda na drzwi i mówi: „Dobrze, proszę pana, że państwo zainteresowało się ludźmi starymi. Inaczej, to nie wiem, co by było”. Gdy pytam o pomoc sąsiadów — macha ręką:

— Gdzie tam. Zgodni są, to prawda, ale żeby ktoś tak z własnej woli zajrzał, to nie. Nawet za przyniesienie wiadra węgla muszę płacić ludziom z ulicy. Były kiedyś dwa harcerzyki, obiecali przychodzić częściej, ale nic z tego nie wyszło, ba, mamy wspólną piwnicę i ktoś zamknął.

Wraca siostra. Siada przy starszej pani. By ich nie kłępować prosi, żeby nie zwracały na mnie uwagi, bo muszę uzupełnić notatki. Udaję, że coś bazgrzę, obserwuję je spod oka. Rozmawiają o zdrowiu, rzecz jasna, o zakupach na jutro, o tym, że dziś wypada zanieść pościel do pralni — tylko do tej prywatnej. Broń Boże państwowej! Babcia pyta o zdrowie pozostałych podopiecznych siostry. Zna je z imienia. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że te trzy chore kobiety, choć nigdy się nie widziały, łączą wiele wspólnego, los ludzi, których życie płynie jakże niewidocznym, ukrytym nurtem. Los, którego inni nie chcą dostrzec, którego nierzad wola nie widzieć, uciec od niego. A siostra Skrzycka...?

Cóż, tak sobie myślę, że siostra Skrzycka daje im oprócz tej wymiernej w sprawach, sprzątaniu i noszeniu lekarstw pomocy także to, co równie, a może i bardziej cenne. Trochę, przyjaźń, prostą ludzką życzliwość, których braku tak się boją. Może dlatego, gdy zegnaliśmy się ze starszą panią, ta mówi: „Dziękuję, że pan także przyszedł”.

Wracamy tam, gdzie za pierwszym razem nie zastaliśmy nikogo. Do chorej, która jak przypuszcza siostra, wyszła do kościoła. A może — niepokoi się przez chwilę — do lekarza. Potem mówi, że zarabia 3400 miesięcznie. Obliczone jest to, jak za osmiodziesięć godzin pracy. Nieraz zdąży załatwić wszystko w ciągu trzech — czterech, nierzad i dziesięć to mało. Lubi tę pracę. Przyzwyczaiła się i wie, że jest potrzebna.

Znowu pukamy do głuchych drzwi. Nikt nie otwiera. Tym razem i ja zaczynam się niepokoić. Siostra jednak spokojnie odpowiada, że na pewno nic się nie stało. Prosi mnie o kartkę i pisze, że jeszcze dzisiaj wpadnie. Gdyby coś się stało, chora zawiadomiłaby sąsiadów. Wtyka kartkę w drzwi. Schodzimy. Na ulicy pytam, co ma jeszcze dziś do zrobienia. Siostra Skrzycka uśmiecha się:

— Przecież pan słyszał: pralnia, część zakręców na jutro, ta kartka w drzwiach... A poza tym mam przecież własny dom, męża, dzieci i nimi też muszę się zająć.

Zegnaliśmy się.

Czy widziałem rzeczywiście to, co widzieć chciałem? Przecież to był taki zwykły, normalny dzień...

JACEK BRASZKIEWICZ

Na początku XVI w. śląski kronikarz Bartłomiej Stein podał dokładniejszą charakterystykę miasta: „...miastem wolnym jest Głogów, które wśród innych wybija się swoją sławą... Dobrobyt miasta jest znacznie powiększony i przekracza jego pierwotną wielkość, co świadczy o dużej żywotności mieszkańców... położenie korzystne nad Odrą, posiada on zamek książęcy, który obecnie jest siedzibą zarządcy królewskiego. Jest drugim po Wrocławiu miastem na Śląsku, które ma tak wspaniałe mury obronne. Posiada również kolegiatę, która jest drugim po katedrze wrocławskiej kościołem na Śląsku”.

W takim mieście obejmował władzę Zygmunt Jagiellończyk, znany później jako Zygmunt Stary. Był on ostatnim synem Kazimierza Jagiellończyka, nie posiadającym żadnego stanowiska. Nie powiodły się próby osadzenia go w Wielkim Księstwie Litewskim, uzyskania korony szwedzkiej, czy też tytułu hospodara Mołdawii. W 1498 r. na zaproszenie swego brata Władysława II, króla Czech i Węgier udał się do Budy, gdzie rozpoczął starania o objęcie po Janie Olbrachcie księstwa głogowskiego. Cały rok trwały związane z tym zabiegi. Ostatecznie udało mu się uzyskać poparcie zarówno panów węgierskich jak i czeskich i 1 listopada 1499 r. nastąpiło przekazanie Głogowa Zygmuntowi z polecenia którego wyjechali na Śląsk: dworzanin i sekretarz Rafał Leszczyński oraz Wojciech Sobek, który został z ramienia Zygmunta starostą w Głogowie.

W rok później przekazał mu jeszcze Władysław Syców, a w czerwcu 1501 r. — Opatę. Wszystkie te posiadłości otrzymał Zygmunt jako lenno korony węgierskiej, które miało być dziedziczne w jego rodzie. Natomiast w wypadku uzyskania władzy królewskiej w Polsce, zobowiązał się zwrócić bratu otrzymane posiadłości.

Po otrzymaniu księstwa Zygmunt pozostał jeszcze jakiś czas w Budzie. Pobyt na dworze królewskim był niewątpliwie bardziej przyjemny niż w prowincjonalnym mieście Śląska. Dopiero w czerwcu 1502 r. książę przyjechał do Głogowa i objął osobiste rządy. Miał wówczas 35 lat. Był człowiekiem poważnym i rozsądnym, o wielkim poczuciu sprawiedliwości i godności osobistej. Nie był żonaty, żył jednak w trwałym związku z Katarzyną Tylniczanką, szlachcianką morawską, z którą miał troje dzieci: syna Janka oraz córki Reginę i Katarzynę. Tylniczanka przybyła do Głogowa razem z Zygmuntem, a wychowujący się w Krakowie Janek nieraz tu przyjeżdżał.

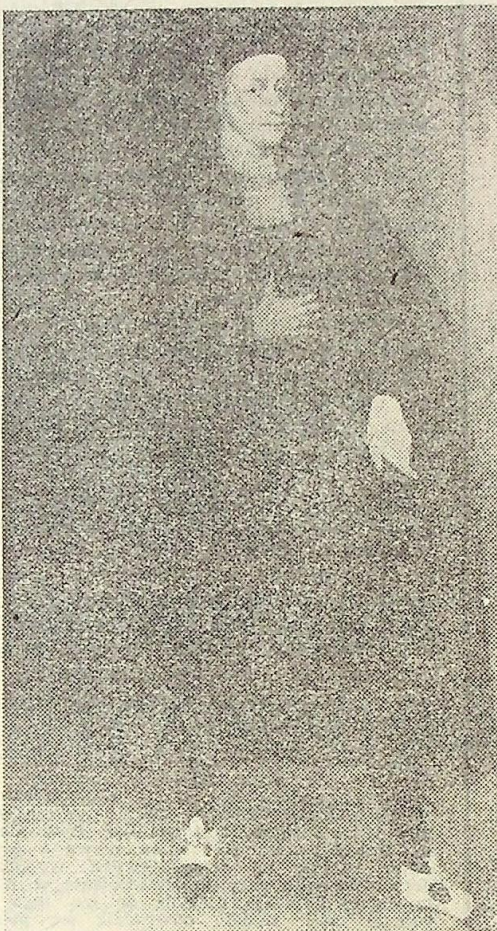
Zamek książąt głogowskich, w którym wszyscy zamieszkałi znajdowali się w opłakanym stanie. Liczne wojny, wojska przechodzące przez Głogów, a nade wszystko wieloletni brak troskliwego gospodarza spowodował, że dach zaciekał i mury w wielu miejscach były nadwątlone. Trzeba było wymienić krokwie i pokrywać dach blachą, którą sprowadzano z Wrocławia, odnawiać drzwi i okna, a nawet spajać rozwiedzione mury żelaznymi sztabami, nie mówiąc już o naprawie zamków i malowaniu. W swojej komnacie kazał Zygmunt założyć na żelaznych prętach ciemne zasłony. Może już wówczas cierpiał na migreny, które nasiliły się po śmierci królowej Barbary i których wpływ na postępowanie oraz politykę króla zdają się nie dostrzegać nasi historycy. Pomimo tak przeprowadzonego remontu, dwór księcia z trudem mieścił się w zamku, a przyjezdni goście z reguły musieli szukać gospody w mieście.

Zygmunt zajął się sprawami powierzonego mu księstwa z właściwym sobie poczuciem odpowiedzialności. Przede wszystkim zajął się sprawą, która najbardziej utrudniała życie mieszkańców — poprawą bezpieczeństwa publicznego, a w szczególności walką z utrudniającym handel rozbójnictwem na drogach. W krótkim czasie nastąpiła istotna poprawa. Można zresztą przypuszczać, że już sam fakt przybycia królewskiego brata spowodował wyniesienie się wielu rozbójników na inne tereny. Miejsce wojaż poety Franciszek Faber Kochritz pisał:

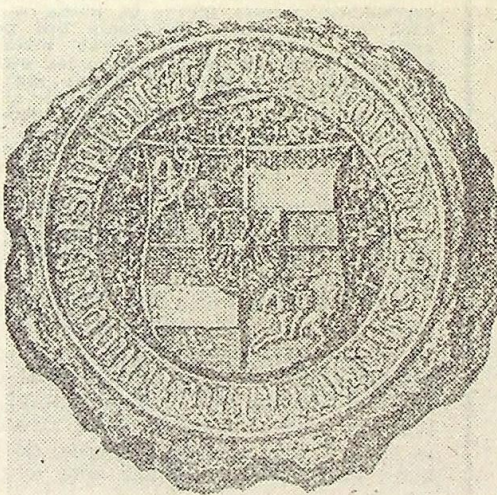
„Tyś nam wrócił największy z Jagiellońców, pokój i bezpieczeństwo, Tobie winien kupiec, że może bez trwogi spocząć swobodnie z bogatym towarem, gdziekolwiek go zastanie zmierzch lub potrzeba wypoczynku na upalnym słońcu. Nie dbając o niczyje urodzenie ani potęgę, pomściłeś się

GŁOGÓW ZYGMUNTA STAREGO

Największym miastem w księstwie głogowskim, a zarazem jego stolicą był Głogów. Jan Długosz tak go opisywał w swoich kronikach: „Głogów wielki, ozdobny dwoma zamkami i rzeką Odrą, która już w tym miejscu znacznie urasta”.



Portret Zygmunta Jagiellończyka — księcia głogowskiego.



Pieczęć księcia głogowskiego Zygmunta Jagiellończyka.

Zdjęcia: Autor

na wszystkich póżworach niesytych naszej krwi. Czy pan, czy sługa, gdy wspólnie zawinią, jednako za Twoim wyrokiem na wspólnym wiszą haku. Za Twoim rządów nawet przemożny złodziej po raz pierwszy zadrzał przed hańbiącym drzewem szubienicy”.

Następną sprawą, którą rozstrzygnął Zygmunt, był spór pomiędzy duchowieństwem i świeckimi mieszczanami o zwrot długów

zaciągniętych u kleru i zapłatę zaległych należności dotyczących on szczególnie przeliczenia wartości różnych monet i wysokości procentów (duchowni wierzylieli żądali 25 procent). Już miesiąc po przyjeździe wydał on wyrok, który nie zadowolili wprawdzie duchowieństwa, jednakże niewątpliwie był sprawiedliwy, tak że w 1512 r. sposób przeliczania zobowiązań pieniężnych ustalony przez niego rozszerzono na cały Śląsk.

Niewielkie zasoby materialne księcia nie mogły zaspokoić rosnących ciągle wydatków. Postarał się więc Zygmunt o przywilej na otwarcie mennicy w Głogowie (otrzymał go 19 listopada 1502 r.) i rozpoczął wybijanie halerzy, a od 1505 r. groszy polskich z Orlem i Pogonią. Mennica przysparzała księciu poważnych dochodów, a w pewnych okresach była ich najpoważniejszym źródłem.

Osobną dziedziną działalności Zygmunta było sądownictwo. Pod koniec 1505 r. przeprowadził on gruntowną reformę ustroju sądów głogowskich. Ustalił sąd leński jako najwyższy sąd apelacyjny w księstwie, zarówno dla rycerstwa jak i dla mieszczan. Był on zwoływany cztery razy do roku. Sąd ten zniesiony został dopiero w 1740 r. po zajęciu Śląska przez Prusy, był więc najdłużej utrzymującym się na Śląsku organem sądownym według prawa polskiego. Równocześnie jednak ograniczył Zygmunt prawa chłopów i spowodował przypisanie ich do ziemi.

Ostatnim aktem wydanym przez Zygmunta Jagiellończyka był 3 sierpnia 1506 r. przywilej na otwarcie w Głogowie apteki. 4 sierpnia 1506 r., na wieść o ciężkiej chorobie króla Aleksandra, wyruszył Zygmunt na Litwę. Obrany Wielkim Księciem Litewskim i Królem Polskim, nie wrócił już do Głogowa. 5 maja 1508 r. zwrócił Głogów swemu bratu, królowi Czech i Węgier — Władysławowi II, który aktem z 27 sierpnia tego roku wcielił go bezpośrednio do Czech.

Za życia Zygmunta, możliwość powrotu Głogowa do Polski była jeszcze dwukrotnie omawiana na dworze królewskim, w obu przypadkach za sprawą królowej Bony. W 1522 r. Bona, usiłując znaleźć zaopatrzenie dla syna (Zygmunta Augusta), zwróciła się do męża o usytuowanie go w księstwie głogowskim, którym sam kiedyś władał. Warto przytoczyć godną odpowiedź króla:

„Niech rozważy Wasza Królewska Mość, jakby to było godnym i uczciwym, jaką to by nam zjednało opinię w tamtych krajach, jeślibyśmy od naszego młodego bratanka, oddanego naszej opiece, pozbawionego prawie wszystkich dóbr swoich, a teraz znajdującego się w największych trudnościach (Ludwika, syna Władysława II), zamiast udzielenia mu opieki i pomocy do odzyskania dóbr, jeszcze sami mieli prosić o coś z tego, czego już niewiele pozostało, dla malutkiego synka naszego, nie potrzebującego nic takiego. Niewątpliwie nie uniknęlibyśmy wielkiej niesławy i umocnilibyśmy tych, którzy rozdrapują i dzierżają dobra Jego Królewskiej Mości”.

Wypada pochylić głowę przed tym wielkim poczuciem sprawiedliwości króla Zygmunta i zarazem żalować, że los nie dał nam wówczas władcy równie wrażliwego na polską rację stanu.

Po raz drugi usiłowała Bona odzyskać księstwo głogowskie w roku 1544 w zamian za Siedmiogród. Również i ta próba nie powiodła się. Głogów musiał czekać na powrót do Ojczyzny jeszcze czterysta lat.

JANUSZ CHUTKOWSKI

Jednych nazywają tatarnikami i alpinistami, drugich grotolazami lub jaskiniowcami. Łączy ich nie tylko przynależność do jednego związku sportowego, ale przede wszystkim chęć poznania przyrody, walki z jej żywiołami, odkrywania nowych, nie znanych dotychczas szczytów czy podziemnych głębi. Łączy ich wreszcie zamiłowanie do arcytrudnych wędrówek, duża odwaga, sprawność fizyczna, chęć ciągłego poznawania nowych rzeczy i zjawisk. W toczących się wewnętrznych dyskusjach nie obywa się bez sporów. Która z uprawianych dziedzin jest ważniejszą i trudniejszą? Czy łatwiej być alpinistą czy grotolazem? Rację mają chyba obie strony.

CHŁOPCY JASKINIOWCY

Dziś poświęćmy nieco uwagi grotolazom, a konkretnie działającemu od prawie trzech lat Klubowi Tatarnictwa Jaskiniowego przy Zarządzie Oddziału PTTK Huty Miedzi w Głogowie. Założył go Gerard Cwiertnia, który poprzednio jako członek klubów w Katowicach i Wrocławiu od dawna uprawiał tatarnictwo jaskiniowe. Po zamieszkaniu w Głogowie początkowo ograniczał się do udziału w wyprawach organizowanych przez kluby macierzyste. To go jednak nie zadowalało i zaczął organizować wokół siebie grono zapaleńców. Pierwszym z nich był Jerzy Joneczak, potem dołączyli inni.

Większość z tych, którzy się zgłosili na pierwszy apel, nie wytrzymała początkowych trudności. Na placu boju pozostał Ireneusz Bożejko. Z upływem czasu do pionierskiej trójki dołączył Aleksander Martin, a potem Bogumił Adamski, Jerzy Milicz, Stefan Mazik i legniczanka Emilia Chodziej. Grupa ta do dziś stanowi trzon 49-osobowego zespołu, który skupia grotolazów z Głogowa, Legnicy, Lubina i Brzegu Dolnego.

Jak zwykle początki nie były łatwe (klub zawiązał się dokładnie 31 stycznia 1979 r.) ale dużą pomocą służyli mu koledzy z Sekcji Grotolazów przy Socjalistycznym Związku Studentów Polskich we Wrocławiu, z którą głogowianie ściśle współpracują do dziś. W pierwszym okresie zaczynało się od organizowania obozów szkoleniowych w Tatrach i Olsztynie koło Częstochowy. Te tereny odwiedzają i teraz, a ponadto penetrują jaskinie w Rudawach Janowickich i Górach Kaczawskich. Niektóre przeżycia z tych eskapad utrwaliły się w pamięci ich uczestników, niektóre przeszły do anegdoty. Właśnie o nich rozmawialiśmy w klubowym lokaliku, znajdującym się w piwnicach hotelu robotniczego Huty Miedzi przy ul. Śniadeckich — pomieszczeniu wyremontowanym i wyposażonym przez członków klubu, które od roku jest miejscem ich stałych spotkań.

— Nasze pierwsze poważne wyprawy i obozy szkoleniowe były w Tatrach. Na początku poznaliśmy jaskinię Zimną w Dolinie Kościeliskiej. Większość myli ją z pobliską Mroźną. Różnice są jednak znaczne, gdyż druga udostępniana jest turystom, a do pierwszej wstęp mają tylko przeszkolone osoby. Potem przyszła kolej na Miętusią, Ptasią, Studnię pod Kazalnicą, którą zaliczyliśmy jako pierwszą po doświadczeniach zakopiańczykach. Na początku zbyt słabo znaliśmy Tatry i zawsze coś nas zaskakiwało. Nasze odkrywcze pasje z reguły torpedowali doświadczeni koledzy. Tak też się stało we wrześniu 1979 r. Po wyjściu z Zakopanego nagle natknęliśmy się na otwór, o którym krążyły legendy. Nie odkryliśmy jednak nic specjalnie ciekawego, a podane nam przez starych wygów informacje świadomie były wielce wyolbrzymione. Dopiero później przyznał się nam do tego Henryk Nowacki — jeden z uczestników katowickiej wyprawy do najgłębszej z dotychczas poznanych jaskiń świata — Goufre Jean Bernard w Alpach Saubaudzkich.

— Jeszcze większe niespodzianki spotkały nas następnego roku, kiedy wybraliśmy się do wylotu Doliny Lejowej. Przeszliśmy Wielką Litworową, Czarną, Ptasią i dotarliśmy do Niznej Litworowej. Nie znaliśmy terenu i wydawało się, że odkryliśmy nowy otwór. Wszyscy podnieksytowani weszli do wnętrza jaskini, ucieszyli się z sukcesu i... znaleźli butelkę z załączoną kartką: „Tu był Pulina”. Zawiedzeni opuściliśmy jaskinię. Tak to nas, nowicjuszy, nabito w butelkę. Później okazało się, że autorem figla był ktoś ze starszej wrocławskiej gwardii, która zawsze zostawiała identyczne ślady.

☆

— Z Miętusią wiąże się zabawna historia, którą mieliśmy okazję poznać podczas jednej z kolejnych wypraw w Tatry. Przed laty przeprowadzono tam badania nad długotrwałym przebywaniem pod ziemią. Konieczne chciało to uwiecznić Polska Kronika Filmowa. Ekipa nie wiedziała, że studnie jaskini są wąskie jak rury kanalizacyjne i głębokie na 80 metrów. Chcąc zejść niżej trzeba siedzieć na jednej nodze, drugą kierować „ruchem”, ślizgać się w ten sposób, uważając na liczne zwężenia. Nie wiedział o tym operator kroniki, który odważnie, z całą niezbędną aparaturą, postanowił szybko zejść na dół. Był — mówiąc ogólnie — dość tęgim i zaklinował się w jednym zwężeniu. Siedział tam biedak bezradnie bardzo długo i dopiero po trzech dniach wyciągnęło go wojsko. Nie wiemy czy coś udało się sfilmować, ale nieszczęsny jaskiniowiec-amator przeszedł do historii, gdyż miejsce jego przymusowego „odpoczynku” nazwano zaciskiem fotoreportera.

☆

— Penetrując jaskinie nie tylko nauczyliśmy się trudnego fachu, ale nabieraliśmy doświadczenia i odkryliśmy coś, co uszło uwadze poprzedników. W Wielkiej Litworowej spotkała nas olbrzymia tajemnica, której jak dotychczas nie dało się rozwiąć. Na głębokości 280 m znaleźliśmy czaszkę jakiegoś stworzenia. Była stosunkowo duża i nikt nie umiał wyjaśnić jej pochodzenia. Jaskinie są domami nietoperzy, ale ich czaszki są o wiele mniejsze. Czyżby to był nietoperz olbrzymi, choć takich obecnie tam nie ma? Musiało to jednak być coś, co lata, gdyż jaskinia jest wyjątkowo trudna (chodniki i studnie do 40 m głębokości) i charakteryzuje się ścianami pokrytymi ilem. Zdobyć czaszkę badaliśmy stosując metodę izotopową i udało się wstępnie stwierdzić, że okaz liczy sobie ponad 800 lat. To wszystko, co na razie wyjaśniliśmy z tej frapującej zagadki.

☆

— Najwięcej i najczęściej mówimy o Tatrach, a zapominamy o znacznie bliższych okolicach — rejonie Wojcieszowa. W całym Polonie zarejestrowano dotychczas 16 jaskiń. Najładniejszą z nich była Jasna. Była, gdyż jest już poważnie zniszczona. W pobliżu znajdują się czynne kamieniołomy. Wskutek eksploatacji, szczególnie po słynnym wybuchu w kwietniu ubiegłego roku, połowę Jasnej zasypało. Jaskinia ta została odkryta dzięki pracom w kamieniołomach. Nie miała wyjścia i wskutek ostrzału odsłonięto otwór. Odkrycie wszystkich zaskoczyło, a paru robotników wpadło do wnętrza. Ze względów na bezpieczeństwo opuszczono wyrobisko, a w to miejsce trafili grotolazi z Wrocławia, Żagania i Głogowa. Po latach musieli z żalem opuścić teren, gdyż wznowiono eksploatację i przebywanie w pobliżu stało się zbyt niebezpieczne.

Tuż obok Wojcieszowa znajduje się sporo innych, równie ciekawych jaskiń. Na uwagę zasługuje — typowo szkoleniowa — Nowa. Ma ponad 300 m długości i jest w jednej trzeciej zawalona. Warto ją jednak odwiedzać ze względu na piękne nacieki. Wymienić także należy Pajęczą, tak ją sami nazwaliśmy — od bardzo licznych kolonii pajaków. Bardzo to dziwne, bo pajaki lubią miejsca gdzie są owady, a te przecież w ciemnościach nie przebywają, ale przyzwyczajeni już jesteśmy do niespodzianek i wybryków natury.

W Górach Kaczawskich spenetrowaliśmy dotychczas dziewięć jaskiń. Jest ich tu 16, a może i więcej. Dopiero teraz opracowa-

je się katalog polskich jaskiń. Odkrywa się pewne partie, a reszta czeka na zdobywców, wśród których być może znajdziemy się również i my.

☆

— Ludzie, z którymi się stykamy, chętnie słuchają opowieści o naszych przygodach, ale wielu nie zdaje sobie sprawy ile za tymi romantycznymi łazęgami kryje się wysiłku, przygotowań i organizacyjnych kłopotów. Taki zdawałoby się wypadek do najbliższej położonej Wojcieszowa pochłania niemal pół dnia, a przecież wszyscy pracujemy. Dlatego też mamy prośbę do KGHM o sprzedaż starej nyski. Resztę (remonty) załatwimy we własnym zakresie. Własny pojazd w znacznym stopniu ułatwiłby nam życie.

Nasze trudności najlepiej niech ilustruje ubiegłoroczna historia. Zamówiliśmy autobus dla 15 osób na wyjazd do Olkusza. Podstawiono nam TAM-a. Przyjechał nim elegancko ubrany kierowca i od razu zapytał, w jakim będziemy spać hotelu. Sądził bowiem, że udajemy się na Jasną Górę i zarezerwowano nam noclegi w Częstochowie. Dowiedziawszy się, jaki jest cel naszej wyprawy, zrezygnował z jazdy. Zgodziliśmy się z tym bez specjalnego sprzeciwu, gdyż takim pojazdem nie ma żadnych możliwości do swobodnego poruszania się po trudnych terenach Jury Krakowsko-Częstochowskiej.

— Na swoją działalność klub otrzymuje po 10 tys. zł z Huty Miedzi i ZW PTTK — i to wyłącznie na zakup sprzętu. Resztę musimy pokrywać we własnym zakresie. Jeżeli już nawet uda nam się zdobyć niezbędne środki, to zawsze wystąpią jakieś nieprzewidziane bariery. W ub.r. w terminie od 25 lipca do 25 sierpnia zaplanowaliśmy wyjazd do Turcji. Prosiłmy o udostępnienie pojazdu (po kosztach eksploatacji i bez kierowcy) z KGHM. Wyjazd nie doszedł do skutku, bo się okazało, że Zakład Transportu KGHM nie dysponuje samochodami odpowiadającymi technicznemu warunkom ruchu poza granicami PRL. Słowem, całe długie przygotowania poszły na marne. Denerwują nas i boją również inne sprawy. Nigdy nie chcieliśmy i nie chcemy niczego za darmo. Składaliśmy do przedsiębiorstw państwowych oferty wykonywania różnych prac, a zarobione pieniądze chcieliśmy przeznaczyć na działalność klubu. Pracy nie możemy jednak znaleźć. Tak np. chcieliśmy myć okna w hucie. Owszem, zgodzono się ale proponując nam stawkę 50 groszy za metr kwadratowy. Studenckiej spółdzielni usługowej bez oporu płacono po 34 zł, bo mogła wystawić formalny rachunek, a z nami miałby ktoś kłopot. Podobnie np. z konserwacją kominów. Jesteśmy specjalistami i roboty wykonalibyśmy znacznie taniej niż specjalistyczne przedsiębiorstwa. Huta jest jednak związana umową i odrzuciła nasze propozycje.

☆

Czy faktycznie nie można przekroczyć pewnych progów? Czas może najwyższy, by centrala PTTK dobila się o niezbędne unormowania prawne dla swych różnych klubów pragnących uprawiać interesujące formy wypoczynku i turystyki za własne zarobione pieniądze.

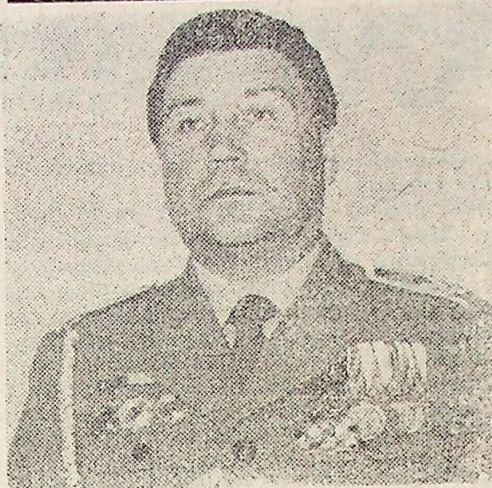
Tych, którzy zostali zarażeni bakcylem penetrowania niezbadanych jaskiń, nie odwiedzie od uprawiania tego sportu. Ta dyscyplina nie musi też być dostępna tylko dla wybranych. Wszak jak mawiają grotolazi, w jaskini każdy dla siebie miejsce znajdzie.

ZYGMUNT ŁUSZCZ

● Od wielu lat dużo słyszymy o rozwoju i sukcesach województwa legnickiego w sportach obronnych. Startują w nich setki młodych ludzi, ale na dobrą sprawę (poza zainteresowanymi) nie wszyscy wiedzą, jakie rozgrywa się konkurencje i jakie obowiązują w nich zasady.

— Do sportów obronnych zaliczamy: trójbój obronny, sztafetowy wielobój obronny i pojedynek strzelecki. Trójbój składa się z marszobiegu, rzutu granatem i strzelania. Na wielobój składa się pokonywanie toru przeszkód, strzelanie i również rzut granatem. Trzecia konkurencja — pojedynek — polega najogólniej na strąceniu ukazujących się tarć mechanicznych. Jeden zawodnik „zbija” drugiego i w ten sposób eliminuje go z dalszej rozgrywki. Wszystkie konkurencje rozgrywane są w kategorii seniorów, juniorek, juniorów starszych i seniorów. Cieszą się one znacznym zainteresowaniem młodzieży, a rocznie w różnych zawodach startuje w województwie ponad 10 tysięcy uczestników. Całość składa się z elementów ogólnorozwojowych i specjalistycznych — szczególnie przydatnych dla obronności kraju.

Z MICHAŁEM DERENIEM,
starszym inspektorem do spraw
sportów obronnych Zarządu
Wojewódzkiego Ligi Obrony Kraju
w Legnicy rozmawia Zygmunt Łuszcz.



podziale administracyjnym kraju. Różne są tego przyczyny. Jedno jest jednak niewątpliwe — decydującą rolę odegrał tu czynnik ludzki.

W ubiegłym roku w międzywojewódzkich zawodach strzeleckich IV grupy LOK — w broni kulowej — w Opolu zajęliśmy pierwsze miejsce (w gronie 7 województw), zwyciężając silne reprezentacje Wrocławia, Opola i Kalisza. W tych zawodach najlepsze rezultaty osiągnęli: Mirosław Kizuk, Kazimierz Matusz, Piotr Bienia, Stanisław Tyżkiewicz i Barbara Gil. W zorganizowanych przez PZSS drużynowych mistrzostwach Polski klasy C (finał) zajęliśmy w Starachowicach trzecie miejsce ustępując jedynie reprezentacjom Łodzi i Szczecina, tj. ośrodków, gdzie strzelectwo sportowe dysponuje bogatymi tradycjami i odpowiednią bazą. A więc przegraliśmy tylko z najlepszymi (w tej kategorii) w kraju. Z ogromną satysfakcją mogę zaznaczyć, że młodzież biorąca udział w tych zawodach wypadła bardzo dobrze, a do wyróżniających się należeli: Regina Rzymyk, Ireneusz Kulczycki, Roman Kędra, Jarosław Lechowicz.

Systematycznie prowadzona (od paru lat)

TRADYCJE ZOBOWIĄZUJĄ

● Sporty obronne mają już bogate tradycje...

— Oficjalnie zostały wprowadzone w 1960 roku. Początkowo rozgrywano zimowe zawody walterowskie i letnie — kościuszkowskie. Ostatnio połączono je w letnie zawody sportów obronnych. Tu pragnę podkreślić, iż reprezentacja naszego regionu czynnie uczestniczy w tych imprezach od samego początku — tak krajowych, jak i międzynarodowych (NRD, Węgry, Czechosłowacja, Rumunia) — odnosząc liczne sukcesy. Jako były powiat legnicki — zajmowaliśmy pierwsze miejsce na Dolnym Śląsku. Po reorganizacji administracji państwowej województwo legnickie zawsze plasuje się w czołówce krajowej. Tak też było w 1981 roku. Nasi zawodnicy uczestniczący w zawodach międzywojewódzkich zajęli trzecie miejsce, ustępując jedynie Jeleniej Górze i Kaliszowi. Na ten ostatni i poprzednie sukcesy składa się praca wielu ludzi i placówek oświatowych, a szczególnie Zespołu Szkół Samochodowych w Legnicy (opiekun Henryk Twardowski), Ośrodka Szkolenia Kierowców i Przysposobienia Obronno-Politycznego w Złotoryi (Józef Zatwardnicki), Zespołu Szkół Zawodowych w Jaworze oraz Zespołu Szkół Górniczych w Lubinie.

● Sporty obronne, zyskujące coraz większą popularność, nie dorównują wciąż strzelectwu sportowemu, w którym cały region, a szczególnie Legnica, zawsze szczylił się widocznymi osiągnięciami. Które ze strzeleckich sukcesów uważa pan za największe, jaki poziom reprezentują obecnie zawodnicy i jakie są perspektywy rozwoju tej dyscypliny?

— Mówiąc o pięknych kartach z kroniki klubu należy wrócić do Igrzysk Olimpijskich 1960 roku w Rzymie. Tam właśnie mieszkaniec Legnicy Stanisław Romik wywalczył piąte miejsce w pd-1 (pistolet dowolny, 15 strzałów próbnych, 60 ocenianych, do tarczy 50 x 20 cm, na odległość 50 m), co stanowiło początek późniejszych olimpijskich sukcesów polskich strzelców — z Józefem Zapędzikiem na czele. Romik był pierwszym zawodnikiem polskim, który wywalczył punktowe miejsce w strzelectwie na zawodach olimpijskich i zarazem pierwszym legniczanie-olimpijczykiem.

Tak się składa, że w ubiegłym roku obchodziliśmy 15 rocznicę istnienia Legnickiego

Klubu Strzeleckiego. Warto więc przy okazji podkreślić, że głównymi jego twórcami byli zawodnicy i działacze skupieni w legnickiej Lidze Obrony Kraju. Krótko po powstaniu w roku 1966 klub został oficjalnie zarejestrowany w Polskim Związku Strzelectwa Sportowego. Wydarzenie o tyle godne podkreślenia, że był to jedyny klub w kraju w mieście powiatowym.

Dziś z perspektywy ponad 15 lat widać jak trafne kierunki pracy obrano, choć ówczesni zapaleńcy start rozpoczęli właściwie od niczego.

Nie też dziwnego, że te rezultaty bardzo szybko zostały zauważone przez kierownictwo ZW LOK we Wrocławiu. Otrzymaliśmy poważną dotację w postaci sprzętu i amunicji. W zamian reprezentowaliśmy LOK województwa wrocławskiego na zawodach szczebla centralnego i międzynarodowych. Według zachowanych starych komunikatów udział zawodników naszego klubu w imprezach centralnych i międzynarodowych sięgał 80—90 proc. ogólnego stanu reprezentacji Polski południowej. Wkrótce też awansowaliśmy do II ligi strzeleckiej. Stało się to możliwe dzięki wymienionym uprzednio poczynaniom organizacyjnym, jak również atmosferze i zyczliwości stworzonej przez ZW LOK we Wrocławiu i Zarząd Główny LOK. W roku 1971 zajęliśmy pierwsze miejsce w II lidze Polski południowej i mieliśmy jedyną — jak dotychczas — szansę na awans do krajowej I ligi. Zabrakło jednak pieniędzy.

Z działalnością Legnickiego Klubu Strzeleckiego w jego najlepszym okresie związanych jest wiele nazwisk działaczy i zawodników. Niektórzy z nich nie dali się zniechęcić i nadal aktywnie pracują. Warto w tym miejscu wymienić rodzinę Samoczek, Bożenę Adamczuk, Alicję Rąbiej, Helenę Orzech, Ewę Kalińczuk, Barbarę Zolnierczyk, Stanisławę Wyszynską, Barbarę Sawicką, Tadeusza Baradzieja, Ryszarda Sawickiego, Stanisława Dudka, Irenę Jastrzębską, niezmordowanego, wieloletniego czołowego zawodnika i obecnego prezesa klubu Ryszarda Opalińskiego oraz zasłużonych sędziów Mariana Matkowskiego i Władysława Wojtonia.

Jak już wspominałem, po latach tustych nastąpiły chude. Przeżyliśmy okres pewnej stagnacji. Uwidoczniło się to wyraźnie po

i konsekwentna selekcja zawodników doprowadziła do ukształtowania się ściślej czołówki, szczególnie wśród juniorów. Jest to dobry prognostyk na przyszłość, zwłaszcza że województwo — w przeciwieństwie do lat poprzednich — dysponuje już dobrą bazą szkoleniową.

● Z bazą zawsze występowały duże trudności — przede wszystkim w Legnicy. Mam na myśli bogatą historię budowy (w czynie społecznym) strzelnicy przy ul. Bielańskiej. Obiekt ten na szczęście (w czym duża zasługa również Ośrodka Sportu i Rekreacji) przekazano do użytku w maju 1980 roku. Strzelnica jest, ale jakoś bardzo cicho przy ul. Bielańskiej. Co stało na przeszkodzie w systematycznym udostępnianiu obiektu?

— Historia budowy strzelnicy jest bardzo długa i pełna „zakrętów”, nie o nich więc chcę przypominać. Jednak i ostatnio, już po ukończeniu budowy obiektu i jego oficjalnym przekazaniu, okazało się, że „nie zauważono” licznych usterek technicznych. Dla przykładu podam, że brakowało ścian przegrody podłużnej tarczociągów itp. Dały również o sobie znać wody podskórne. Dopiero 9 października 1981 r. dokonano ostatecznego odbioru strzelnicy. Obecnie obiekt może już służyć wszystkim amatorom sportów obronnych. Kiedy to jednak nastąpi ze względu na stan wojenny, pokaże czas.

● Od 1951 r. pracuje pan w LOK i na co dzień zajmuje się sportami obronnymi. Zna pan doskonale zagadnienie, czasy dawne, obecne i potrzeby na najbliższe lata. Czego w tej sytuacji oczekuje pan w nowym sezonie i w najbliższych miesiącach?

— Myślę, że już niedługo będziemy mogli wznowić treningi i organizować tradycyjne imprezy. Ponadto jesteśmy w trakcie tworzenia Społecznej Sekcji Strzelectwa Sportowego Wojewódzkiej Federacji Sportu, która skupi wszystkich zwolenników i działaczy tej dyscypliny. Mamy bogate doświadczenia, sporo utalentowanej młodzieży i uważam, że już obecnie stać nas na powrót nie tylko do II ligi, a także — po pewnym czasie — na awans do wyższej klasy rozgrywek w strzelectwie i osiąganie znacznie lepszych wyników w sportach obronnych. Stać nas bez przesady, by nawiązać do dawnych tradycji i by je wzbogacić.

● Dziękuję za rozmowę.

TYGODNIK POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ. ADRES REDAKCJI: 59-220 Legnica, plac Chopina 2, skrytka pocztowa 145. REDAGUJE KOLEGIUM: Maria Samborska (red. nac.), Tadeusz Rollauer (sekr. red.), Czesław Pańczuk (z-ca sekr. red.) oraz ZESPÓŁ: Jacek Broszkiewicz, Grzegorz Chmielowski, Janusz Dobrzański, Maria Kuncaitis, Zygmunt Łuszcz, Antoni Neczyński, Elżbieta Pomorska (red. techn.), Krzysztof Roczko (fotoreporter). TELEFONY: sekretariat i redakcja — 241-46, sekr. red. 241-49, z-ca red. 299-25, publicyści 602-26 i 214-77, fotoreporter — 279-92, biuro ogłoszeń i administracja — 292-42. Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzeżenie: prawo skracania nadesłanych tekstów. WYDAWCA: Wrocławskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Podwałe 64, 50-010 Wrocław. DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne: „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Piotra Skargi 3/5, 50-010 Wrocław. OGŁOSZENIA przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń RSW, 50-010 Wrocław, Podwałe 62, tel. 357-55 i 44-49-71; wszystkie biura ogłoszeń RSW w kraju oraz redakcja w godzinach 8.30—16.00. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, 00-953 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto PKO nr 1153-201045-139-11; prenumerata jest droższa od krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla instytucji i zakładów pracy. PL ISSN 0137-4690

KONKRETY

Henry Ford — to nazwisko zna dziś każde dziecko. Kojarzymy je najczęściej z marką znakomitego samochodu. W okresie szalejącej motoryzacji, kiedy jeden po drugim rodzą się kolejne modele wozów, a konkurencja zrównała poziomem większość poważnych producentów, nie zachwycają nas już tak bardzo auta pochodzące z firmy Forda. Po prostu są dla nas równie piękne, co wozy japońskie, szwedzkie, niemieckie i równie dla nas niedostępne.

JAK RODZIŁA SIĘ FORTUNA

Ale Ford to nie tylko symbol samochodu. To przede wszystkim symbol rozkwitającej Ameryki. Człowiek, który w ciągu pół wieku dorobił się okrągłego miliarda dolarów, jest przykładem wielkich możliwości, jakie dał ten kraj ludzkości pełnym inicyjatyw i przedsiębiorczości.

Kim więc był ten człowiek? Kim był ten, który tak szczerze obdarzał ludzi samochodami — największymi wówczas symbolami nowoczesności, a jednocześnie sam nad wszystko przedkładał dawne obyczaje, tradycyjne pieśni i tańce ludowe. Kim był wreszcie ten, który stworzył największe niegdyś imperium przemysłowe na świecie i którego wnuk zatrudnia dziś prawie 400 tysięcy pracowników?

Przyszł na świat w roku 1863. W Stanach trwała jeszcze wojna domowa. Ojciec, William Ford, irlandzki emigrant był średnio zamożnym farmerem. Również matka pochodziła z farmerskiej rodziny. William Ford, jak każdy wówczas farmer, widział w najstarszym z ośmiorga dzieci synu, swego następcę na gospodarstwie. Henry jednak od najmłodszych lat interesował się techniką. To pokolenie farmerów potrafiło już doceniać znaczenie technicznych urządzeń w prowadzeniu gospodarstwa, toteż nikt nie zabraniał mu spędzać długie godziny w domowym warsztacie i kuźni.

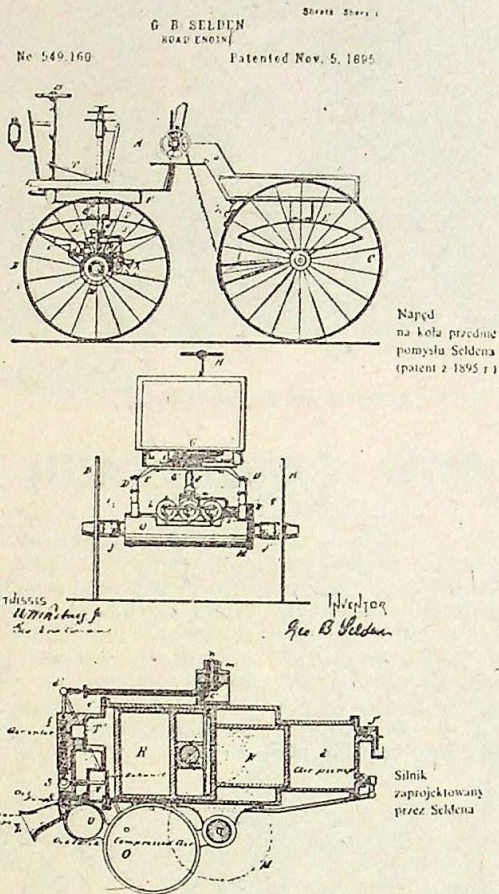
Pierwsze sukcesy małego Henry'ego zauważono w szkole. Wokół siebie i swoich zainteresowań potrafił skupić grono kolegów, z którymi postanowił zbudować koła wodne. Pobliski rów przegrodzili pomysłem tamą i zainstalowali nad nią koło łopatkowe. Kiedy wszystko było gotowe, Ford wpadł na pomysł, by za pomocą obracającego się koła uruchomić stary młyn do kawy. Wyśmienita ta konstrukcja służyła dzieciom do mielenia piasku, gliny, ziemniaków. Cate wydarzenie opisała później siostra Forda w swych pamiętnikach. Już wówczas, jako mały chłopiec okazał się zdolnym organizatorem: „Henry nie tyle brał udział w wykonaniu, ile kierował pracą pozostałych. Sam robił niewiele. Mówił innym, co mają robić, a oni chętnie go słuchali”. Z dziecięcych lat Forda odnotować można jeszcze wiele przykładów z dziedziny techniki, którymi potrafił zadziwić nie tylko swego ojca, ale i okolicznych farmerów. Szczególnym powodem do dumy młodego Forda było urządzenie do zdalnego otwierania i zamykania bramy w ogrodzeniu farmy bez zsiadania z wozu.

Gdy ukończył trzynaste lat otrzymał w prezencie urodzinowym zegarek. Wkrótce później naprawiał zegarki wszystkim okolicznym farmerom. Mówiono nawet żartobliwie, że na widok małego Forda wszystkie zegary trzęsą się ze strachu. W tym również roku po raz pierwszy ujrzał maszynę poruszającą się o własnych siłach. Była to lokomotywa. Zrobiła na nim takie wrażenie, że jeszcze wiele lat później potrafił dokładnie opisać jej podstawowe szczegóły techniczne.

Wkrótce potem wyjechał do pobliskiego Detroit, sporego już wówczas ośrodka przemysłowego i zaczął pracować w fabryce produkującej silniki okrętowe. Dał się tam poznać jako dobry pracownik, co usankcjonowano powierzając mu stanowisko majstra, a w ślad za nim, samodzielne prace przy naprawie turbin parowych na wybrzeżu i okolicy.

Po pewnym czasie jednak, ku ogromnej radości ojca, powrócił na wieś. Tu ożenił się i osiadł na dość dużej farmie. Po czterech latach ponownie wyjechał do Detroit, teraz już z rodziną i na stałe. Tam, jako zdolny mechanik przez jedenaście lat pracował w firmie Edison Illuminating Company. Ale myślni był już gdzie indziej. Odbierając w roku 1892 syn farmerski Charles Duryea zbudował pierwszy samochód amerykański. W Europie samochody pojawiły się już wcześniej, ale dopiero sukces Amerykanina prasa miejscowa niebawem rozdmuchała.

Teraz Ford wiedział dokładnie, jaki będzie cel jego życia. Pierwszy swój samochód zaczął budować popołudniami i nocami w pobliskim garażu. Opierał się przy tym wyłącznie na wiadomościach prasy popularnej i naukowej, jako że do europejskich pier-



Fot. K. Raczkowiak

wowzorów nie miał dostępu. Prowadził setki prób i doświadczeń, z których rzecz jasna większość kończyła się niepowodzeniem. Dzięki swemu niezwykle uporowi, duchowemu poparciu żony, a przede wszystkim pomocy inżyniera Kinga, który przed wyjazdem do Paryża zostawił Fordowi swój pierwszy — prymitywny nawet jak na owe czasy — samochód, młody mechanik z Detroit po siedmiu latach pracy osiągnął wreszcie swój cel. 4 czerwca 1896 roku o czwartej nad ranem Ford dokonał pierwszej udanej próby swojego wozu. Miał wówczas 33 lata.

Przez następne lata Ford potrafił zjednać do samochodów kilku młodych zdolnych mechaników i razem pracowali nad ulepszeniem kwadrycyklu — tak bowiem Ford nazwał swój samochód.

A trzeba powiedzieć, że były to czasy wielce uciążliwe dla entuzjastów motoryzacji. Kierowcy spotykali się z wymysłami i obelgami woźniców, samochody okazywały się niebezpieczne dla przechodniów. Sam Ford doznał rozczarowania, gdy dumny wjechał samochodem na farmę ojca. Ten powiedział mu wprost, że zabawka ta nie jest godna dorosłego człowieka. Ale Henry'ego nie już nie mogło powstrzymać od nowych konstrukcji. Po trzech latach od pierwszej udanej próby, miał już w garażu trzy nowe wozy. Postanowił rozpocząć produkcję samochodów z myślą o sprzedaży.

Pierwsza spółka produkcyjna Detroit Automobile Company nie przyniosła oczekiwanych sukcesów. Kosztowne sportowe wozy, jakie zamierzała produkować, nie znalazły wielu nabywców. Podobnie rok tylko działała druga spółka Ford Automobile Company.

Perspektywę w życiu Forda otworzyły wyścigi samochodowe — nowa forma rozrywki amerykańskiej arystokracji. Ambicje sportowe, a przede wszystkim reklama i rozgłos miały uodowodnić wszystkim, że Forda stać na doskonałe konstrukcje, a jego samochody nie boją się konkurencji. Jednocześnie Ford poprzez udział w wyścigach i osiągnięte na nich sukcesy pragnął zachęcić miejscową arystokrację do finansowania jego projektów.

Wozy wyścigowe budował Ford wraz z grupą utalentowanych, specjalnie dobranych

konstruktorów. Pracowali razem, ale motorem wszelkich nowości konstrukcyjnych, ich wynalazcą i projektantem był właśnie Ford. Wykazywał przy tym niezwykły zmysł organizacyjny, wynalazczy, znakomite opanowanie właściwości metalu i narzędzi. Wszystko to przyniosło oczekiwane rezultaty. Ford samodzielnie prowadząc samochody wygrywał kolejne wyścigi i pobijał kolejne rekordy szybkości. Samochód z tamtych czasów „999” wszedł na stałe do historii motoryzacji. W pamiętnikarskiej książce „Moje życie i dzieło” Henry Ford wspomina go w taki sposób: „Wóz „999” zrobił swoje: podał do wiadomości szerokiej opinii publicznej, że potrafię zbudować samochód zdolny rozwijać znaczną szybkość. W tydzień po wyścigu założyłem Ford Motor Company”.

Nazwa tej firmy figuruje dziś niemal w każdej encyklopedii świata. W naszej 4-tomowej jest zawarta informacja, że w roku 1965 w Ford Motor Co. pracowało 365 tys. pracowników.

Oficjalna rejestracja spółki nastąpiła w połowie 1903 roku. Była to typowa w tamtych czasach spółka akcyjna. Tysiąc akcji po sto dolarów każda, stanowiło nominalnie sto tysięcy dolarów kapitału inwestycyjnego, przy czym firma przejęła wszystkie aktywa, kapitał trwały i ruchomy, poprzedniej spółki Ford and Malcolmson. Te dwa nazwiska od początku grały pierwsze skrzypce w nowym interesie. Henry Ford objął w nim funkcję wiceprezesa zarządu i generalnego dyrektora. Po utworzeniu Ford Motor Co. jeszcze raz przyszedł „król samochodów” zapragnął pobić szybkościowy rekord świata. Istotnie na swoim wozie osiągnął niebywałą prędkość 145 km na godzinę. Jedynym celem tego wyczynu była reklama firmy i zdobycie przyszłych klientów. Wkrótce potem pojawił się na rynku nowy samochód Ford Motor Co., którego zalety i umiarkowana cena 850 dolarów zostały szeroko rozreklamowane.

Produkcja była jeszcze wówczas bardzo prymitywna. W warsztatach braci Dodge, którzy byli znaczącymi udziałowcami firmy Forda, produkowano silniki i inne ważniejsze części wozów. Układy te ładowano na drabiniaste furmanki i przywożono do Ford Motor Co. Tu odbywała się reszta montażu. W ciągu pierwszych piętnastu miesięcy istnienia firmy sprzedano 1700 samochodów, co było niemałym sukcesem. Czysty zysk wynosił 100 tys. dolarów, czyli tyle, ile wszystkie udziały firmy.

Obok produkcji rynkowej ciągle trwały prace nad nowymi modelami. Przede wszystkim były problemy z rozpoznaniem potrzeb rynku. Z jednej strony samochód wciąż jeszcze uważano za przyjemność dla ludzi bogatych, z drugiej natomiast, wiadomo było, że ludzi takich jest za mało, jak na potencjalne możliwości produkcyjne kilku już istniejących firm samochodowych, zapowiadających bujny rozkwit. Firma Forda szczególnie więc badała rynek. Ale trzeba było aż ośmiu kolejnych modeli samochodów, by podjąć ostateczną decyzję. Ford doszedł wreszcie do wniosku, że samochód powinien stać się artykułem pierwszej potrzeby i dlatego musi być tani oraz prosty w budowie i eksploatacji.

Wraz z rozwojem przedsiębiorstwa rosło znaczenie samego Forda, który przy każdej nadarżającej się okazji wykupywał udziały firmy. W latach 1906—1907 Ameryka przeżywała kryzys gospodarczy. W czasie, kiedy inne firmy bankrutowały i masowo zwalniały pracowników, Ford obniżył, mimo znacznego popytu, cenę na swoje samochody, co jeszcze bardziej spotęgowało produkcję.

(c.d.n.)

Opracował:
ANTONI NECZYŃSKI

MAGIA FUTBOLU

★ W lidze włoskiej zespół słynnego Juventusu przez dłuższy czas dzierżył tytuł pierwszego kolekcjonera kartek wszelkiego rodzaju, ostrzeżeń i wykluczeń. Piłkarzy zaś nazywano brutalami numer 1 Tajemnicę wyjawili wreszcie masażysta drużyny De Mario. Poinformował on, iż piłkarze przed każdym występem dla dodania sobie odwagi oglądają same krwawe westerny i filmy kryminalne z dużą liczbą bijatyk. Gdy zmieniono system przygotowań i przed kolejnym meczem ligowym futbolistom Juventusu pokazano tzw. romanse — ich występ na murawie zakończył się przegraną 0:3...

★ Dwa lata temu słynny kapitan Bayernu Monachium Paul Breitner złożył przyrzeczenie, że o ile w roku 1981 jego drużyna zdobędzie tytuł mistrza kraju, to on postawi beczkę piwa każdemu sympatykowi zespołu, który się doń zgłosi. Było to jedno z droższych ślubowań (napisano o nim nawet w słynnej książce Guinnessa). Jak wiadomo, Bayern został mistrzem. Podczas Święta Piwa w Bawarii Breitner musiał zapłacić ponad tysiąc marek. Potem przy kasie oznajmił: „Nigdy nie przypuszczałem, że nasza drużyna ma tylu kibiców...”

POWRÓT KATHERINE

Szczyt popularności ma już za sobą. Przez wiele lat Katherine Hepburn, nękana poważnymi schorzeniami reumatycznymi, przebywała z dala od swych przyjaciół i znajomych. Nie wiadomo, gdzie przebywa, co robi. Ostatnio 71-letnia już dama amerykańskiego kina przypominała się publiczności. Powróciła do fachu, nie na ekran, lecz do teatru. Zagrała starą nauczycielkę w sztuce „Walc z zachodnich stron”. Krytycy stwierdzili, iż Katherine znów zachwyca kunsztem aktorskim i wspaniałą osobowością.



NAPISALI, POWIEDZIELI

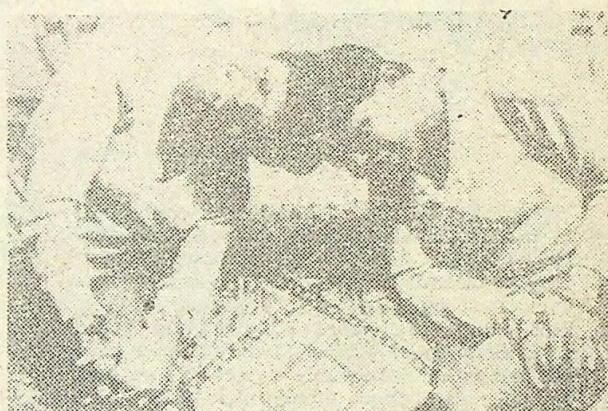
Jasza Heifetz — słynny skrzypek, udzielając wywiadu powiedział: — Czasem gram współczesne utwory, by lepiej sobie przypomnieć, jakim geniuszem był Beethoven...



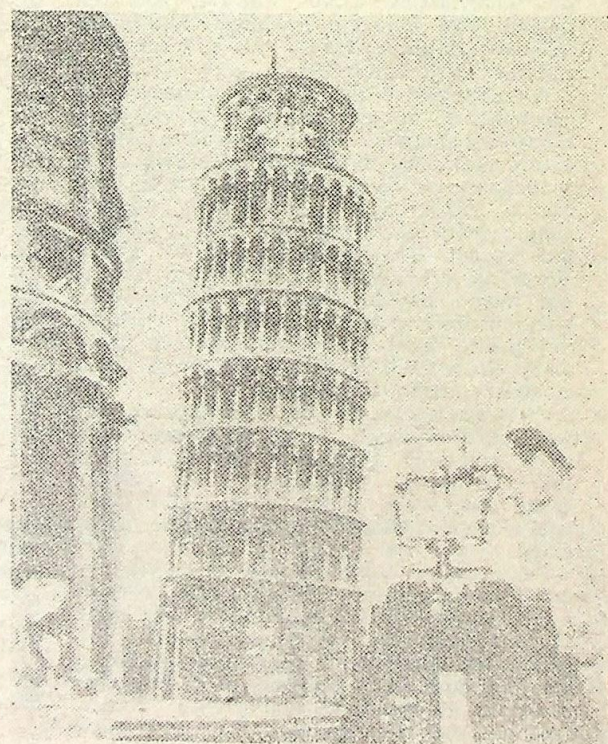
SIOSTRY ZOSTANĄ RAZEM

Yvonne i Yvette przyszły na świat w 1919 roku jako bliźnięta syjamskie zrosnięte głowami. Lekarze sądzą, że siostry nie będą mogły się poruszać, ale już po kilku latach okazało się, że weale sobie nie przeszkadzają. Ba, chodzą do

kina, na zakupy... W sensie psychicznym także czują się ze sobą związane. Kiedy niedawno kalifornijscy chirurdzy zaproponowali siostronom operacyjne rozdzielenie — Yvonne i Yvette kategorycznie odmówiły.



WIEŻA STOI SPOKOJNIE



Słynna wieża w Pizie w ubiegłym roku wyrażnie się uspokoiła. Przechyliła się tylko o 0,73 mm. Było to najmniejsze odchylenie od piętnastu lat. W tym okresie wieża przechyliła się o 1,36 mm rocznie...

GWIAZDY MÓWIĄ

Wierzmy, że Czytelnicy przyjmą ten horoskop z przymiuczeniem oka, a losów swoich gwiazdom nie powierzą.

▲ **BARAN** (21 III—20 IV) Kilka zaległych spraw utożmy się nieco inaczej niż można było przewidywać. Dotyczy to przede wszystkim układów rodzinno-domowych. Staraj się, by nie doszło do niepotrzebnych nieporozumień. W kręgu spraw zawodowych — kilka sytuacji wymagających Twojej inicjatywy.

▲ **BYK** (21 IV—21 V) Warto kontynuować znajomość zawartą w świątecznym okresie. Są wszelkie szanse, by przerodziła się ona w serdeczną zażyłość. W połowie tygodnia osobista sytuacja może się nieco zagnatować. Tę nieporozumienia będą najprawdopodobniej sprawy finansowe. Uważaj więc z wydatkami.

▲ **BLIŹNIĘTA** (22 V—21 VI) Tydzień okaże się w sumie dość spokojny, choć trzeba się będzie zdobyć na niejedną wysiłkę. Ale nie martw się — przy dobrej organizacji własnego czasu — poddasz wszystkiemu. Pod koniec tygodnia wpadniesz w nie najlepszy nastrój, a wszystko przez swoją bytnia drobniactwo... Trzymaj nerwy na wodzy!

▲ **RAK** (22 VI—22 VII) Czekaj, Cię bardzo pracowity tydzień, w którym nie zabraknie zajęć, szczególnie zawodowych. Od tego jak sobie z nimi poradzisz, będzie później wiele zależało. Nie lekceważ więc niczego i staraj się, by wszystko wypadło jak najlepiej. W domu spodziewaj się sporych zmian.

▲ **LEW** (23 VII—22 VIII) Bieg bardzo wielu spraw zależy od tego, jak zachowasz się w tym tygodniu. Nie zalegaj niczego połowicznie. Dotyczy to przede wszystkim spraw zawodowych, bo one będą dominowały teraz przez dłuższy okres. W życiu prywatnym czeka Cię kilka interesujących spotkań. Pod koniec tygodnia przejdiesz natężoną próbę wiedzy o życiu.

▲ **PANNA** (23 VIII—22 IX) Przed Tobą jakas poważna sprawa. Ten mini-egzamin przejdiesz pomyślnie, więc nastroj ogólnie będzie dobry, mimo pewnych komplikacji rodzinno-domowych. Pod koniec tygodnia — staniesz przed bardzo trudnym problemem. Działaj jednak spokojnie, sprawę dokładnie przeanalizuj, a zobaczysz, że nie taki diabeł straszny jak go malują...

▲ **WAGA** (23 IX—23 X) Będzie raczej spokojnie i bez większych zmartwień. Tylko

w połowie tygodnia wypłynę spraw trudniejsza wymagająca od Ciebie sporego namysłu nad sposobem rozwiązania. Warto będzie, przed ostateczną decyzją, posłuchać czyjejs rad. Niebawem odezwie się ktoś niedawno poznany. Zastanów się czy warto kontynuować tę znajomość.

▲ **SKORPION** (24 X—22 XI) Możesz oczekiwać dowodów przyjaźni od osób na których sympatiu bardzo Ci zależy. Ale nie wszystko potoczy się tak, jak sobie zaplanowałeś. Kłopotliwa sytuacja nie będzie dotyczyła Ciebie osobiście, ale jej załatwienie spadnie na Twoje barki. Ktoś bardzo Ci bliski oczekuje pomocy i chyba nie zawiedziesz pokładanego w Tobie zaufania...

▲ **STRZELEC** (23 XI—22 XII) Ten tydzień zacznie się dla Ciebie od pomyślnego, bo też i pilnych spraw. Ci nie zabraknie. Nie ma się co oglądać na innych, musisz się zabrać jak najszybciej do roboty. W domu spokojnie i bez burz, choć grozi Ci, że staniesz się nagłym powodem małej scenki zazdrości. Rozładuj sytuację taktem i spokojem...

▲ **KOZIOROZEC** (23 XII—20 I) Pierwsze dni upłyną Ci pod znakiem miłych serdecznych spotkań, ale i ty musisz się zdobyć na serdeczność wobec otoczenia. W drugiej połowie tygodnia jedna sprawa będzie gonila drugą, a niejedną sytuacją może się skomplikować. Uważaj, by w pośpiechu nie popełnić jakiegś gaty, bo trudno byłoby ją naprawić. W sprawach zawodowych — spore zmiany.

▲ **WODNIK** (21 I—20 II) Właściwie to nie będzie większych zmartwień ani kłopotów, tylko sprawy finansowe będą trochę kłucie. Najprawdopodobniej wygrzebieś się z nich już za kilka dni. Zastanów się, czy warto kontynuować ryzykowne dla spokoju domowego znajomości. Niebawem zmiany w bliskim otoczeniu zawodowym. Nie będziesz nim zachwycony, ale z czasem wszystko winno się ułożyć poprawnie.

▲ **RYBY** (21 II—20 III) Czekaj, Cię bardzo dobra passa zawodowa. Na horyzoncie pojawi się niejedna szansa warta wykorzystania. Szczególnie korzystna pod tym względem będzie pierwsza połowa tygodnia. Za kilka dni — jakies drobne komplikacje w sprawach, wydawałoby się — definitywnie załatwionych.

KRZYŻÓWKA

POZIOMO: 1 — tam gdzie się przełazi przez coś, 4 — wieje od wyzów podzwrotnikowych do równika, 7 — miasto w Gdańsku, 8 — sily lotnicze Albionu, 9 — bohaterka jednego z seriali TV, 10 — półkrzew z rodziny różowatych, 11 — gdzie łroga zmienia kierunek, 14 — współtwórca, 16 — głos wieża, 18 — przygotowuje literaturę do ekranizacji, 20 — były szef Egiptu, 21 — pieśń biesiadna z XVIII w.

PIONOWO: 1 — zmyślony powód, pretekst, 2 — kuzyn jelenia, 3 — niedzwiedź, 4 — walczy na tyłach nieprzyjaciela, 5 — w oknie, 6 — RWPG-owskie auto, używa się go do budowy pieców, 10 — uliczna wieloramienna, 12 — przed ZSRR, 13 — guz na skórze, 15 — jeden z najsłynniejszych leksykonów USA, 17 — chroni żarówkę, 19 — produkt mleczarski.

Na rozwiązanie krzyżówki numer 1 czekamy do 20 lutego 1982.

